Nr. 214. 4. 8. We Lwowie, — Wtorek dnia 6. Września 1892. **Rok XXXI.**

GAZETA NARODOWA

Wychodzi codziennie w dwóch wydaniach: dla Lwowa o godz. 3. popołudniu, dla prowincyi o godz. 8. wieczorem. W dnie świąteczne zaś dla Lwowa o godzinie 12 w południe, dla prowincyi o 5 wieczorem. W Niedzielę nie wychodzi.
Przedpłata wynosi z przesyłką pocztową miesięcznie zł. 2·— kwartalnie zł. 6·—
Za granicą kwartalnie zlr. 7·50.
W miejscu z dostawą do domu miesięcznie 1 zł. 50 ct. kwartalnie 4 zł. 50 ct.
BIURA REDAKCJI: ulica Czarneckiego l. 4 parter otwarte od godz. 9 do 1 w południe.

Nowy zwrot w kwestyi ruskiej.

Lwów d. 5. września.

Diło umieszcza w jednym z najnowszych numerów znaczący artykuł, który można uważać za zapowiedź, jak zachowa się podczas zbliżającej sesyi sejmowej stronnictwo t. zw. „ugodowców" czyli narodowców. Z tonu i z treści tego artykułu, pochodzącego widocznie *ex consilio* partyi, można mianowicie wnosić, iż w obozie narodowców przygotowuje się znowu zwrot ku— p. Antoniewiczowi... W artykule tym wyliczono w sposób bardzo cierpki cały szereg grzechów rządu popełnionych, zdaniem organu narodowców, wobec Rusinów, i w końcu zagrożono wyraźnie zerwaniem ugody.

Organ pana Romańczuka przytacza szereg faktów, które mają udowadniać „wiarołomstwa rządu wobec Rusinów". Fakta te są następujące:

Najpierw, że na posadę dyrektora nowego seminaryum nauczycielskiego w Samborze ma być według informacyj *Diła* upatrzony p. Kerekjarto, dotychczasowy inspektor okręgowy szkół ludowych w powiecie lwowskim. Ta posada miała być przyrzeczoną Rusinowi. Otóż *Diło* przyznaje, iż p. Kerekjarto jest Rusinem, ale że nie należy do żadnej z partyj, patentowanych w obozie narodowców, jako wyłącznie ruskie, dlatego już same pogłoski o możliwem zamianowaniu takiego Rusina, który skłania się ku zasadzie ***gente Ruthenus, natione Polonus*** kierownikiem seminaryum nauczycielskiego w Samborze, wywołują w obozie narodowców oburzenie i rozgoryczenie.

Drugim powodem do groźby zerwania ugody sejmowej przez narodowców, ma być zamianowanie kierowniczką pierwszej klasy szkoły ćwiczeń przy żeńskiem seminaryum nauczycielskiem we Lwowie, nauczycielki, która posiada wprawdzie patent i praktykę jako uzdolniona do udzielania nauki szkolnej w języku ruskim, ale nosi nazwisko francuskie, nazywa się bowiem panna Teyssyere.

Jako trzeci fakt wymienia *Diło* tę okoliczność, że opróżniona po śmierci ś. p. dr. Aleksandra Ogonowskiego katedra prawa cywilnego z językiem wykładowym ruskim na uniwersytecie lwowskim, dotąd nie jest obsadzoną, i że pewien ukończony akademik — według opinii *Diła* — szczególniej utalentowany, już dwa razy podawał się o stypendyum na podróż naukową za granicę, co dotąd uwzględnionem nie zostało.

Dalej użala się *Diło* na to, iż obecny referent dla spraw ruskich w ministerstwie oświaty, p. Charkiewicz, ma być podobno mianowany dyrektorem ruskiego gimnazyum we Lwowie, a stronnictwo p. Romańczuka innego miałoby na tę posadę kandydata, jak niemniej także, iż do Wiednia ma pójść na miejsce p. Charkiewicza pan Bańkowski, profesor gimnazyalny w Brodach, także Rusin, ale taki, którego usposobienie organowi narodowców nie podoba się.

Największe zaś oburzenie wywołuje w obozach ruskich oprócz powyższych spraw osobistych ta okoliczność, iż rząd w bieżącym roku nie wprowadził jeszcze w życie przyrzeczonego gimnazyum ruskiego w Kołomyi.

Kończy zaś *Diło* swoje rewelacye następującym wielce charakterystycznym zwrotem: „Jak na polu szkolnictwa tak i na innych polach, jak to wykażemy później, naród ruski do dziś nie widzi uroczyście przyobiecanej zmiany systemu politycznego. Nie dziw przeto, że wszędzie pośród Rusinów panuje niezadowolenie i oburzenie. Ogół narodu ruskiego radośnie powitał był krok rządu zrobiony ku Rusinom i pochwalił stanowisko zastępców narodu ruskiego, którzy nie mogąc odrzucić propozycyi rządu postanowili zrobić, jak to było powiedzianem, **próbę**. Ależ jeżeli rząd w taki sposób, jak to obecnie widzimy, „dopomaga" Rusinom — to cały naród i zastępcy jego mogą tylko ubolewać nad takiem zrozumieniem „pomocy" dla narodu ruskiego w konstytucyjnej Austryi.

„Wyczekujące stanowisko narodu ruskiego i jego zastępców było całkiem naturalnem dopóty, dopóki, że tak powiemy, w zawieszeniu jeszcze były czyny, ale tylko pięknie brzmiały słowa. Dziś jednak, gdy po słowach nastąpiły także czyny, stanowisko wyczekujące staje się bezprzedmiotowem. Dziś już wiemy, jak stoi nasza sprawa z rządem.

„Niechajże wszyscy Rusini i zastępcy narodu ruskiego zajmą stanowisko wobec rządu odpowiednie do tego, jakie zajął rząd wobec Rusinów, i niechaj to stanowisko Rusinów wyraźnie zaznaczonem zostanie już na tej sesyi sejmu krajowego."

Całą doniosłość tych pogróżek *Diła* ocenić można dopiero wówczas, gdy uprzytomnimy sobie treść oświadczeń p. Romańczuka, złożonych uroczyście w sejmie na posiedzeniu z 25 listopada 1890 r., a które stanowią dotąd niby fundamentalną podstawę zasadniczą polityki narodowców. Mianowicie zaznaczyli wówczas narodowcy jako swój program następujące cztery zasady:

Po pierwsze: rozwój narodowości ruskiej samoistny, od polskiej zarówno, jak i od moskiewskiej odrębnej;

po wtóre: wierność unii z katolickim kościołem i z zachodnią cywilizacyą;

po trzecie: wierność Austryi;

po czwarte: zgoda z Polakami, oparta na wspólności interesów i wzajemnem poważaniu.

Teraz dowiadujemy się zaś z *Diła*, że narodowcy nie postawili wówczas tego programu na seryo, ale tylko „na próbę", że zajęte przez nich wtedy stanowisko, nie polegało na poważnem przeświadczeniu, nie było szczerem, ale miało tylko znaczenie przemijającego manewru! P. Romańczuk i jego przyjaciele wygłaszali wymienione powyżej zasady nie w dobrej wierze, ale tylko warunkowo, jako pewnego rodzaju koncesyę, uczynioną w jakichś tam układach zakulisowych. Wygłosili je „na wymowę" — i zajęli stanowisko „wyczekujące" oczekując nagrody za tę „koncesyę" ze swej strony...

Zasada odrębności i samoistności ruskiej narodowości nie była więc braną przez tych panów na seryo, ale tylko na próbę; tak samo prawili o przywiązaniu swojem do unii z Zachodem katolickim i o wierności dla Austryi tylko warunkowo — nie mówiąc już o zgodzie z narodem polskim, która także znalazła łaskawe umieszczenie w owym głośnym programie: te wszystkie zasady fundamentalne narodowej polityki ruskiej miałyby być proklamowane tylko tymczasowo, na wymowę!

Samo wygłoszenie tego programu w sali sejmowej nie zobowiązując narodowców w ich przekonaniu do niczego, miałoby już wiązać ręce rządowi w ten sposób, że jeżeli tylko ta lub owa posada, to lub owe stypendyum, na które *Narodna Rada* p. Romańczuka ma swojego upatrzonego kandydata, dostanie się komuś innemu — ma być dostateczną przyczyną ku temu, iżby narodowcy wypowiedzieli wierność katolizmowi, wierność Austryi itd.

Cóż sądzić o takiej wierności zasadom? Jaką wartość można przywiązywać do polityki ludzi, którzy podobne programy wgłaszają tylko na próbę?

Nic też dziwnego, że główny organ moskalofilów *Hałyckaja Ruś*, zapisując z radością taką zmianę taktyki narodowców, jako oznakę odstępstwa ich od wygłoszonego w sejmie programu ugodowego, zapowiada koniec nowej erze w kwestyi ruskiej, wytworzonej na tle programu Romańczuka.

My, znając tajemnice stronnictw ruskich, nie możemy inaczej tłómaczyć zwrotu, zapowiedzianego w artykule *Diła*, o którym tu wzmiankę czynimy, jak tylko jako objaw strachu ludzi chwiejnych i z wszystkimi nieszczerych przed natarciem podczas zbliżających się sesyi sejmowej moskalofilów i radykałów. Programu swojego nie brali oni szczerze gdy go wygłaszali, więc nie dziw, że nie stać im odwagi do jego obrony.

Jeżeli narodowcy nie zdołają utrzymać się na wysokości stanowiska, jakie zajęli w programie z 25. listopada 1890, sami sobie będą winni temu, gdy znajdą się w pozycyi niekoniecznie miłej pomiędzy dwoma stołkami, na których równocześnie siedzieć chcieli. Mało będzie takich, którzy będą ubolewali nad bankructwem ludzi tak chwiejnych i niepewnych. Niechaj jednak nie myślą ci panowie, ażeby oni byli wyłącznie patentowanymi przedstawicielami Rusi. Oni przedstawiają jedno z ruskich stronnictw — tych stronnictw jest jak wiadomo kilka. Które z nich jest najbardziej i najlepiej „ruskiem" można rozmaicie o tem sądzić. Lecz to pewna, iż żadne z nich nie może tem pochwalić się, jakoby w obozie swoim miało większość ludu ruskiego. A Ruś to lud ruski — nie ta lub owa partya, a tem mniej te lub owe osobistości, którym zdaje się, iż należy się im szczególny przywilej do przemawiania w imieniu Rusi.

W obronie Polaków.

Lwów d. 5. września.

Pester Lloyd zaczerpnął — niewiadomo nam z jakiego źródła wiadomość, jakoby Watykan miał skłaniać się obecnie ku dawnemu projektowi rządu rosyjskiego: wprowadzenia do liturgii rzymskiej i grecko-katolickiej w Królestwie Polskiem języka słowiańskiego. Nie sądzimy, żeby wiadomość ta polegała na dobrej informacyi — i uważamy ją jako błędną, Ojciec św. bowiem zanadto dobrze zna sprawę całą, by mógł się do przyjęcia projektu rosyjskiego dać nakłonić. Mimo tego jednak powtarzamy artykuł *Pester Lloyda* — ze względu na tchnącą z niego tym razem życzliwość dla Polaków.

„*Finis Poloniae!* zawołano zapewne w katolickich kołach Warszawy, gdy się świeżo tam wieść rozeszła, jakoby papież dozwolił zaprowadzenia języka słowiańskiego w liturgii rzymsko- i grecko katolickiej w Królestwie polskiem. Toby była jedna z najcięższych prób, jakie spadły na polskich patryotów, którzy nie chcieli się zgodzić na okrzyk kościuszkowski, ani się wyrzec wiary w lepszą przyszłość narodu. Jak więzień rozkoszuje się samotnym promieniem słonecznym, który przez szczelinę w murze do ciemnicy jego się przedarł, jak w nim upatruje jasnego posłańca z świata wolności i pocieszyciela, — tak Polak w najczarniejszych chwilach swych bolesnych dziejów trzymał się oburącz katolicyzmu, którego nauki i przepisy w cichości wykonywał, — tak religię katolicką uważał za obietnicę niejako niebiańską odzyskania swobodnego rozwoju narodu, którego nie połknie żarłoczna paszcza ortodoksyjnego panslawizmu... Teraz ma się to zmienić,— w Watykanie miano postanowić wydanie Polaków na pastwę.

„Być może, że projekt podobny przedłożono Ojcu św., starając się go poprzeć analogią. Jeśli bowiem francuskim katolikom mogła Stolica apostolska polecić, by się poddali rzeczypospolitej, dlaczegożby polskich katolików nie miano nakłonić do pogodzenia się z instytucyami rosyjskiemi? Przecież Kościół nie wymaga od katolików francuskich żadnej ofiary ze strony ich prawowierności, owszem umożliwia im tem większy wpływ na ducha ustawodawstwa państwowego; nie może więc i od Polaków takiej ofiary wymagać, podczas gdy car w zamian za to prawdopodobnie łaskawiejby patrzył na katolicyzm polski. Wszystko to dobrze, tylko że analogia ta niekoniecznie trafna. Monarchia czy rzeczpospolita, to francuskiej narodowości zupełnie nie narusza, — natomiast narodowość polska jest w najwyższym stopniu zagrożoną, jeśli „język słowiański" zaprowadzą w liturgii. Że tym „językiem słowiańskim" może być tylko rosyjski, rozumie się samo przez się, ale wtedy Kościół samby dopomógł do zrussyfikowania polskiej ludności. Toby znaczyło nietylko tyle, co udzielenie polskości ostatnich sakramentów, ale byłoby to także sankcyonowaniem *ex post* wszystkich prześladowań religijnych, wszystkich rosyjskich gwałtów, jakich się na katolicyzmie Polaków dopuszczano. I z jakich miałoby to nastąpić powodów?

„Z jednej strony rzekomo dlatego, że papież chce zrobić ustępstwo carowi, sprzymierzeńcowi Francyi, a przeciwnikowi trójprzymierza; z drugiej zaś dlatego, że w Watykanie marzą o zdobyciu dla katolicyzmu na Wschodzie szerszego pola do działania. Czy to dążenie, trójprzymierzu nie bardzo na rękę będące, tak bardzo na korzyść pretensyj papieskich wyjdzie, łatwo osądzić. Bo jeśli trójprzymierzu chodzi o utrzymanie dotychczasowego stanu, to chyba polityki swej względem przeciwników nie zmieni. O możliwości zaś zwycięzkiego rozszerzenia się katolicyzmu między Słowianami wschodnimi, pozwala dostatecznie wnioskować zachowanie się Słowian zachodnich. Oto z chwilą wzrostu dążności panslawistycznej odwrócili się widocznie Czesi i Słowieńcy od katolicyzmu i choć duchowieństwo stara się o kompromis z narodowościowym kierunkiem, to przecież żywioł narodowościowy okazuje się silniejszym niż religijny, a Młodoczesi i Młodosłowieńcy wcale nie dwuznacznie kokietują z ortodoksyą rosyjską.

„A jakiżby mieli powód inni Słowianie, stojący na niższym jeszcze stopniu cywilizacyjnym, do przyjęcia katolicyzmu? Pewność prześladowań najcięższych, piętno wroga narodu chyba żadną ponętą do tego kroku być nie może. Bo przecież w Watykanie nie oddają się złudzeniu, żeby car za ułatwienie mu zabójstwa polskości dał pozwolenie na otwarcie granic państwa rosyjskiego misjonarzom katolickim i propagandzie religijnej? A więc pomoc papieska zostałaby bez wynagrodzenia, gdyż car nie może się na to zgodzić, by Słowianie z pod jego władzy duchownej mieli się wymknąć... Korzyści więc dla stolicy papieskiej, z kroku takiego wynikające, byłyby zbyt drobne, a z pewnością nie dorównałyby stracie, jakąby on przyniósł, t. j. zmniejszeniu powagi Kościoła katolickiego w Polsce.

„Jakby się Polacy po tak srogim ciosie, wymierzonym przeciw ich narodowości, zachowali wobec Watykanu, to już rzecz ich sumienia. Może być, że ich przywiązanie do religii nie doznałoby najlżejszej zmiany, może być, że i nadal uważaliby katolicyzm za przedmurze przeciw wschodowi, chroniące ich przeciw pochłonięciu przez ortodoksyę rosyjską. Ale w każdym razie z czasem musiałaby bezwarunkowo nastąpić zmiana stanowiska kościoła katolickiego w Polsce. Bardziej językiem liturgicznym, niż dogmatami zdołał on zachować jedność Polaków. Jakkolwiekbądź pozornie węzeł ten luźnym się wydawał, skupiał on przecież ogół swych wyznawców.

„Jeśli kościół katolicki zrezygnuje z tego węzła, sam rozluźni tę jedność. Bo skoro raz przyzna uprawnienie liturgii rosyjskiej, dlaczegóżby miał nie przyznać go węgierskiej, niemieckiej, francuskiej, słowem każdej narodowej? A to musi być wynikiem koniecznym, gdyż nie zawsze będzie zrozumiałym przywilej, przyznany teraz carowi i językowi rosyjskiemu. Wprawdzie może wielka część wiernych religii swej tem bardziej oddaną będzie, bo służba boża będzie zrozumiałą każdemu i bliższą jego serca, ale nieuniknioną będzie rzeczą, że myśl narodowa przesiąknie katolicyzm, a raczej go rozłoży. Wytworzą się kościoły narodowe, wyodrębnią się, głowy narodów na nie wpływ uzyskają, a wtedy nasunie się pytanie, czy w ogóle potrzeba jednej głowy w Kościele; — jak rozstrzygniętem to zostanie, nie wchodzimy w to, ale to pewna, że katolickość czekać będą wstrząśnienia silne. A tego chyba nie przewidywać w Watykanie nie mogą. Dlatego nie jesteśmy skorzy do dania wiary, by tam zgodzono się na ten pierwszy akt zagłady Polaków, dlatego też musi się okazać nieprawdziwą pogłoska, jakoby papież tylko z grzeczności dla cara i małodusznej niechęci przeciw trójprzymierzu miał przyzwolić na wprowadzenie języka słowiańskiego do liturgii w kościele polskim w Królestwie".

Wychodźctwo.

Przed widmem cholery jeden kraj po drugim zamyka granice, poddaje cudzoziemców najrozmaitszym przepisom kwarantanowym, utrudnia im przejazd i przyjazd, a jednak w Austryi trwa mimo to wychodźtwo. W zbaraskim powiecie trzeba było aż pomocy wojska, by ruch ten zatamować, gdyż nawet rychły powrót zawiedzionych w swych nadziejach wychodźców nie oduczył ich braci owej dziwnej łatwowierności, której tylu padło ofiarą, dając posłuch niecnym podszeptom agentów. Nie odstraszyła tych mas nawet cholera, grasująca w Rosyi — wyszły po za granice. Ha, trudno! Ale one powracają, a z niemi łatwo może być do Galicyi zawleczona epidemia — należy więc baczne mieć na tych synów marnotrawnych oko. Na szczęście ten nie niemiecki *„Drang nach Osten"* już powoli ustaje. Ale dziwnym trafem — jeśli trafem — wzmaga się wychodźtwo Słoweńców ku granicom Czech, naturalnie do Hamburga i Ameryki. Czyż wolno oba te zjawiska zwać trafem? Chyba nie, one mieć muszą głębszą przyczynę i mają ją. Słynny proces wadowicki odkrył przed światem opłakaną dolę wychodźców, a jednak nie wpłynął na odwrócenie ludności od tego rozpaczliwego kroku, jak świadczą liczby coraz to większe: W 1889 roku z Przedlitawii 29.000, 1890 r. 38.000, prawie tyleż z Węgier i to tylko do Ameryki, nie licząc wychodźtwa do Rosyi i krajów bałkańskich. Przyczyną ta nie mogą być stosunki przemysłowe, lub handlowe, gdyż te w latach ostatnich jedynie się polepszyły i nie dają robotnikom powodu do wychodźctwa. Inaczej ma się rzecz z wieśniaczym ludem. W wielu krajach koronnych los jego jest ciężki bardzo, a stosunek właścicieli większych posiadłości doń tylko go jeszcze pogarsza, zmuszając do porzucania roli i kraju. Proletaryat wioskowy się mnoży, płaca robotnika w wielkich dobrach wprost politowania godna — dość powiedzieć, że u jednego z najmożniejszych magnatów czeskich najemnik pobiera 32 ct. dziennie!

I cóż dziwnego — woła *N. W. Tagblatt*, snując swe wywody, które staraliśmy się streścić — cóż dziwnego, że tymi stosunkami do rozpaczy doprowadzona ludność wiejska słucha ułudnych obiecanek agentów?

A jeśli jeszcze dołączą się do tego polityczne względy, jak u Rusinów, mają agenci łatwe pole do działania. Pomijamy już tę okoliczność, że ludność ta staje się podatnym gruntem dla propagandy socyalistycznej. ale same względy ekonomiczne, jakoteż wzgląd na siłę zbrojną państwa domagają się tego, by raz przecież tej pladze wychodźczej kres położyć. Do miarodajnych kół należy obmyślenie środków dla umożliwienia ludności wiejskiej pobytu i utrzymania się dostatecznego w kraju.

Cieszy nas, że w tym wypadku nie daliśmy się wyprzedzić Niemcom. Znanem bowiem jest wystąpienie p. Kłobukowskiego na lwowskim Zjeździe prawników i ekonomistów polskich przed paru laty i powzięte wtedy uchwały. Sprawą tą zainteresowało się szersze grono, w b. r. zaś powstało nawet czasopismo, specyalnie sprawie wychodźtwa poświęcone pod tytułem ***Przegląd emigracyjny***.

Miejmy nadzieję, że rozświetli ono stosunki wiejskie i powody wychodźtwa ludu naszego, oraz wskaże, środki zaradcze na podstawie materyału cyfrowego. Nie można bowiem

---

KARTKA Z ŻYCIA ARTYSTKI.

(Ciąg dalszy).

Potem pomogła mi rozebrać się z moich sprószonych podróżnych rzeczy i zaprowadziła znowu do tego samego pokoju, gdzie zjadłyśmy kolacyę.

Po jedzeniu odczytała najmłodsza z dziewcząt niemiecką modlitwę, a pani podała mi także **książkę**.

— Masz tu angielską książkę do modlenia, **moje** dziecko — rzekła uprzejmie, a ja zaczerwieniłam się, bo nie umiałam czytać, ale wstydziłam się przyznać do tego.

Zauważyłem, jak popatrzyła na mnie badawczo, potem na książkę, czułam, że odgadła moją tajemnicę, ale nic nie powiedziała. Po skończeniu modlitwy, pocałowała każdą z nas i poszłyśmy do łóżka. Jedna z dziewcząt umiała trochę po angielsku, ta więc spała obok mnie. Opowiedziała mi, że w tej sypialni śpią właściwie tylko najstarsze uczennice, i dlatego zostałam do nich przyłączoną, ponieważ bano się, ażeby moje rówieśnice nie prześladowały mnie dlatego, że żadna nie rozumie ani słowa mego ojczystego języka. Powiedziała mi także, że nasza nauczycielka nazywa się pani Klos, że mieszkamy w kraju arcyksięcia Wilhelma von Schwarcfelden i wiele jeszcze innych rzeczy, aż ukołysana **tonem** jej głosu wkrótce usnęłam.

IV.

Przechodzę prędko przez te lata uciech i przykrości szkolnych, łączących jakby most czas dzieciństwa z latami dziewicy. Opis jednego dnia, jednego tygodnia wystarcza, by odczuć wspomnienia całych lat. Czas przechodził spokojnie, wśród jednakich zajęć, w kole tych samych przyjaciół, nauczycieli, z małymi wyjątkami tych samych koleżanek, wzrastałam na ciele i na duchu, dopóki po upływie dziesięciu szczęśliwych lat, nie zobaczyłam się w pierwszym rozkwicie młodości.

Głos mój od samego początku wysoko był cenionym przez moich nauczycieli śpiewu. Dziesięć lat dobrej szkoły rozwinęło go do tak przyjemnego, pełnego giętkości sopranu, jakiego, jak ogólnie mówiono, nie słyszano dotychczas w murach akademii.

Jakkolwiek nauka skierowaną była głównie na muzykalne wykształcenie, nie zaniedbywano także innych gałęzi wiedzy. Uczono nas języków francuskiego, angielskiego i włoskiego, naturalnie także pisania, rachunków, historyi i geografii. W niedzielę szłyśmy parami do kościoła, gdzie z naszych młodocianych gardzieli rozbrzmiewały święte śpiewy.

Taką była ta szkoła, do której dobroć obcych wysłała opuszczoną i zaniedbaną sierotę. Kilka razy słyszałam o moim dobrym przyjacielu i opiekunie, panu Grimaldim. Pisywał zawsze z jednaką uprzejmością i troskliwością ojcowską. Listy jego donosiły o wielu zmianach— o troskach, domowych kłopotach, chorobie, o czynnem, męczącem życiu. W końcu zaprzestał pisywać, a w jakiś czas dowiedziałam się, że umarł. Opłakiwałam go długo. Po dzisiejszy dzień wspominam o nim z miłością i wdzięcznością. Z jego śmiercią zakończyły się dla mnie wszelkie stosunki z ojczyzną.

Pan Stolberg był pierwszym muzykiem w Niemczech. Był on kapelmistrzem arcyksięcia, każdego miesiąca egzaminował uczennice w akademii, Miałyśmy wielkie uszanowanie dla jego czerwonej wstążeczki w dziurce od guzika, dla jego żywych ciemnych oczu, i ostrego temperamentu, cudownie pięknie komponował. Uczył się u Beethowena, na uroczystości muzycznej w Sztrasburgu otrzymał złoty medal, a później w rocznicę ślubu arcyksięcia skomponował na jego cześć kantatę.

Pewnego ranka siedziałyśmy w klasie, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł pan Stolberg w towarzystwie pani Klos. Położył na stół kapelusz i wyciągnął jakiś papier z kieszeni.

— Moje panie — rzekł, właściwym sobie, prędkim, nakazującym tonem, — mam zaszczyt uwiadomić was, że wskutek odejścia panny Uhdens do Berlina, w chórze książęcej kapeli wolny jest jeden sopran. Jego książęca mość życzy sobie, dla zapełnienia tego miejsca, wybrać jedną z pań tutejszej akademii; dlatego też otrzymałem nakaz ogłosić; iż wszystkie, chcące się ubiegać o tę posadę, mają za ośm dni w sali muzycznej odśpiewać jedną partyę z „Messyasza" Händla i jedną aryę z „Schöpfung" Heydena. Jego Wysokość sam we własnej osobie będzie na próbie.

Z temi słowy pan Stolberg położył zeszyt nut na biurko pani Klos, ukłonił się i opuścił pokój równie śpiesznie jak wszedł.

Nie potrzebuję mówić, jakie wzburzenie panowało przez ów tydzień między sopranistkami akademii w Schwarzfelden. Wiele mniemało, że daremnem byłoby współubiegać ze mną, bo mam głos najpiękniejszy. Lecz wszystkie ćwiczyły się od rana do późna wieczór; nie słychać nic, prócz wybranych partyj Heydena i Händla. Ja z mojej strony zaledwie jedną nutę prześpiewałam, czułam, że spokój i rozmyślanie pomogą mi więcej niż wszelkie ćwiczenia.

Tydzień minął; nadszedł dzień próby. Rano tego dnia wyszłam na przechadzkę do blisko położonego lasu. Tu także wszystko ciche, tak święte! Ufność i spokój zawitały do mego serca. Płakałam. Wstrzymywałam się od śpiewu, ażeby nie przerwać świętej ciszy tego miejsca, wróciwszy, oczekiwałam w bibliotece wezwania do ubioru.

Oprócz mnie zgłosiło się jeszcze pięć kandydatek. Trzy z nich śpiewało bardzo ładnie; najlepszą była młoda dziewczyna, Rebeka Leo, córka bardzo majętnego kupca. Rebeka nie czuła się szczęśliwą w tym instytucie; wiele z jego wychowanek stroniło od żydówki, której ojca nazywano lichwiarzem. Wyrządziłyśmy sobie parę razy wzajemne przysługi, ona była tak opuszczoną, ratowałam ją, za co mię pokochała serdecznie.

O szóstej stawiłyśmy się w sali muzycznej. Pan Stolberg siedział przy fortepianie; pani Klos i profesorowie zajęli miejsca po jednej stronie podium; naprzeciw siedziały kandydatki. O kwadrans na siódmą wszedł arcyksiążę ze świtą; podano mu listę z naszemi imionami i zaczęła się próba. Moje imię było czwartem z rzędu, więc mogłam czekać. Byłam bardzo wzruszona. Nareszcie jakaś lekka ręka dotknęła mego ramienia.

— Na ciebie kolej, Alicyo—rzekła Rebeka.

Wstałam i poszłam do fortepianu.

Arcyksiążę patrzył na mnie przez lornetę, zdawało mi się, że od zmysłów odchodzę, wsparłam się jedną ręką o fortepian, inna jakaś ręka spoczęła na moje, ale w tej chwili się usunęła. Odwróciłam się i zobaczyłam ciemne oczy Stolberga zwrócone na mnie z niezwykłą serdecznością; dziś wiem, że udawał, iż porządkuje nuty, leżące blisko mojej ręki.

— Nie bój się pani — szepnął cicho — ufaj się z pewnością.

Te niespodziane słowa zachęty od surowego mistrza wstrzymały mi oddech. W następnej chwili uderzył w klawisze. Zaczęłam. Byłam tak zalęknioną, że nie wiem, jak śpiewałam pierwsze strofy, tak, ja nawet nie wiem, czy ja w ogóle śpiewałam. Byłam jak odurzoną, sala koncertowa, arcyksiążę, nuty, wszystko tańczyło przed memi oczyma. Po kilku minutach zdawało mi się, jakbym usłyszała czyste jak dzwon tony mego własnego głosu, unoszące się jak ptak w lesie ponad akompaniament fortepianu. Zdawało mi się, że słyszę kogoś innego śpiewającego, a ja jestem słuchaczem. Zwolna opuściło mię to uczucie. Znalazłam się znowu w cichym lesie, zmysł i głębia słów zakryte przedemną; tu moje uniesienie wypłynęło świętą pieśnią, radującą lud Syonu.

Gdym skończyła śpiewać, biło mi serce, lecz nie z bojaźni. Pięć innych patrzyło na mnie, później po sobie... pani Klos miała oczy pełne łez, a od końca sali, gdzie siedzieli znawcy, rozległ się na pół przytłumiony okrzyk: brawo!

— Czy nie miałem słuszności mis Alicyo? — rzekł pan Stolberg, przystępując do mnie, pomówiwszy kilka słów z arcyksięciem. — Proszę przyjąć moje ramię, przedstawię panią Jego Wysokości, jesteś wybraną!

(C. d. n.)

wprost do naszych stosunków stosować miary, jaką organ wiedeński z analogii tego, co w swym kraju widzi, zdaje się odnosić do Galicyi.

Koncerty i opera polska w Wiedniu.

Telegram od komitetu wiedeńskiego, przysłany w sobotę na ręce dyr. Tow. muzycznego p. Szwarza, doniósł, że wskutek usunięcia się od produkcyi kilku wybitnych solowych artystów — zapowiedziane koncerty polskie zostają na razie odwołane. W dalszym ciągu swego zawiadomienia, zapewnia komitet wiedeński lwowską komisyę, że gdyby jej się udało w późniejszym czasie produkcye koncertu we Wiedniu wykonać, nie odmówi jej swojej pomocy.

A więc po pełnych trzech miesiącach trudów i pracy, poniesionych przez tutejszych muzyków i członków chórów Towarzystwa i Lutni, po przezwyciężeniu niezliczonych przeszkód, jakie miała komisya lwowska w zorganizowaniu chórów, w ściągnięciu tychże w czasie feryj, zamiast moralnej nagrody — zupełny zawód. Wiadomość o odwołaniu koncertów, odczytana w sobotę wieczorem wobec chórów, wywołała nieopisane oburzenie na komitet wiedeński.

Wiele bowiem uczestników chóru (złożonego ze stu kilkunastu osób) poniosło znaczne koszta, nie mówiąc o moralnej pracy i o utraconych feryach. Dla sztuki narodowej gotowi byli wszyscy do ofiar, dla igraszki jednak wiedeńskiego komitetu, czy też onych sławnych polskich artystów, którzy więcej o sobie myślą, niż o sławie polskiej sztuki, nikt do tychże obowiązanym się nie czuje.

*

Telegr. „Gaz Narod."

Wiedeń d. 5. września.

Dyrektor teatru Schmitt przybył tutaj onegdaj wraz z personalem i rozpoczęły się już próby z Halki. Oprócz lwowskiego personalu wezmą udział w produkcyach operowych tylko p. Myszuga i panna Schlezygier. Oczekiwane jest także przybycie kilku osób z lwowskiego dramatycznego personalu, potrzebnych do przedstawienia „Krakowiaków i Górali". Wielkie niebezpieczeństwo zachodzi pod względem orkiestry. Wystawowa bowiem orkiestra składa się z samych Niemców, potrzeba więc będzie odbyć sporo prób, aby np. poloneza nie grano w tempie walca. Z „gwiazd" Reszkowie, Kochańska, Paderewski, Mierzwiński, o których współudziale w produkcyach tylo komitet wiedeński głosił — nikt nie przybędzie. Skutkiem tego nie będzie nie tylko przedstawienia opery **włoskiej** w czasie przedstawień **polskich**, ale nadto i odwołano zapowiedziane produkcye koncertowe. Mimo całego bałamuctwa komitetu i jego niedołęztwa — we Wiedniu wyczekują z pewnem zainteresowaniem przedstawień polskich.

Rozprawa karna
przeciw
dr. Aleksandrowi Medweyowi.

Lwów 5. września.

Dziś z uderzeniem godz. $^{1}/_{4}$10 rano rozpoczęła się w tutejszym c. k. sądzie kraj karnym rozprawa przeciw dr. Al. Medweyowi.

Trybunał składają: radca **Spędakowski** jako przewodniczący i jako wotanci **Füger** i **Nitarski**, zastępca wotanta adjunkt **Adamiak**. Protokół prowadzi praktykant sądowy p. **Hanczakowski**.

Jako sędziowie przysięgli zasiadają: Sołtys Ignacy, Kolischer Henryk, Mikuliński Bolesław, Mystkowski Władysław, Stipal Maryan, Bałłaban Jakób, Barach Józef, Karaczewski Józef, Czerwieński Władysław, Dybuś Feliks, Eder Leopold, dr. Czermak Józef; jako zastępcy: Łańcucki Stanisław, dr. Chmielewski Wincenty.

Oskarżenie wnosi zastępca prokuratora **Przyłuski**, broni dr. Medweya dr. Michał **Grek**.

Jako znawcy fungują lekarze: dr. **Gostyński** i dr. **Berezowski**.

Po stwierdzeniu obecności zawezwanych świadków i zawiadomieniu, że nieprzybycie usprawiedliwili pisemnie chorobą Paulina z Kozłowskich Rutkowska i Bronisław Słonecki, nastąpiło czytanie

Aktu oskarżenia,

który dosłownie opiewa:

Ces. król. prokuratorya państwa we Lwowie wnosi oskarżenie przed trybunałem sądów przysięgłych we Lwowie, że uwięziony Aleksander Oskar 2 im. Medwey, rodem ze Stopnicy, lat 42 liczący, rel. rzym. kat., żonaty, ojciec 2 dzieci, doktor wszech nauk lekarskich, dzierżawca i kierownik zakładu wodoleczniczego w Morszynie.

I. W lutym r. 1892 Janinę z Rudkowskich Brodzką, żonę Eugeniusza Władysława Maryana 3 im. Brodzkiego, chociaż po jej woli, mężowi podstępem uprowadził.

II. Wyzwawszy tegoż Eugeniusza Władysława Maryana 3 im. Brodzkiego do walki na broń morderczą, w takowej d. 4. kwietnia 1892 strzałem z pistoletu zabił.

Dopuścił się zatem zbrodni gwałtu publicznego z §. 96, tudzież zbrodni pojedynku z §. 158 ust. kar. podpadających karze z §. 161 *) przy zastosowaniu §§. 34 i 162 u. k.

Do rozprawy głównej należy wezwać jako znawców dwóch lekarzy, a jako świadków: Janinę z Rudkowskich Brodzką, Agnieszkę 1-o śl. Kisielnicką, 2-o Brodzką, Katarzynę Prohaskową, Michała Szczerbaka, Antoniego Marcichowskiego, Jana Werbowskiego, Jana Kulpę, Jędrzeja Semszyna, Bronisława Słoneckiego, Amelię z Brodzkich Słonecką, Józefa Rudkowskiego, Maryę Adelę Rudkowską, Paulinę z Kozłowskich Rudkowską, Mieczysława Janickiego, ks. Klemensa Euzigera, dr. Erazma Romanowskiego, Stanisława Melińskiego, Edmunda Słoneckiego, Tomisława Rozwadowskkiego, dr. Dawida Hellmana, Wiktora Kalitę, oraz odczytać przy takowej zeznania Eugeniusza Władysława Maryana 3 im. Brodzkiego, Henryka hr. Skarbka, Jana Chrzanowskiego, protokół sekcyi zwłok, list oryginalny dr. Aleksandra Medweya i kopię fotograficzną jego listów, list Brodzkiego, listy Brodzkiej, tudzież świadectwa urzędowe obwinionego, **których zażądać należy.**

Powody.

Dnia 4. kwietnia br. padł Eugeniusz Władysław Maryan 3 im. Brodzki z ręki dr. Medweya Aleksandra Oskara w pojedynku na pistolety, odbytym niedaleko miasteczka Burdujani na terytoryum rumuńskiem. Był to epilog stosunku miłosnego między Medweyem a żoną Brodzkiego, który doszedł aż do uprowadzenia jej, a powstał i rozwinął się wśród następujących okoliczności:

Eugeniusz Brodzki, właściciel dziedzicznej majętności Borki małe w powiecie skałackim, dawnym obwodzie tarnopolskim, poślubił w listopadzie 1888, mając lat 27, Janinę Rudkowską, wówczas niespełna 20-letnią córkę Józefa Rudkowskiego, ck. notaryusza w Wyżnicy na Bukowinie.

Rodzice jej uchodzą za ludzi bardzo zamożnych, a niemniej skąpych. Nie dali córce żadnego posagu, wypłacali jej tylko rentę bardzo skromną w stosunku do ich fortuny, po 500—600 zł. rocznie.

Pożycie Brodzkich, jak przekonują liczne dowody, o których w dalszym ciągu będzie mowa, w pierwszych latach nie pozostawiało nic do życzenia. Dopiero przy końcu grudnia 1891 przyszło z niewiadomego powodu do gwałtownego zatargu, podczas którego on żonę czynnie znieważył. Zajście to nie wywołało następstw bezpośrednich, zapanowała na zewnątrz przynajmniej zgoda. Wkrótce potem zachorowało im jedyne dziecko, chłopak przeszło 2 lata liczący, na dyfteryę. Brodzka zawezwała do pomocy swą przyjaciółkę i bliską sąsiadkę Janinę z Medweyów Bieniedzką, siostrę obwinionego, która też natychmiast (10. stycznia) przybyła. Tego samego dnia dziecko skończyło życie.

Bieniedzka tymczasem, bawiąc jeszcze u Brodzkich, zapadła także na dyfteryę, wskutek czego telegrafowano po jej brata dr. Aleksandra Medweya, utrzymującego zakład hidropatyczny w Morszynie i ten stanął 16. stycznia w Borkach. Z Brodzkim znał się dr. Medwey jeszcze z lat dawniejszych, gdy jako kawalera w domu swej siostry w Kozinie spotykał. Żony jego wcale dotąd nie znał. Przy chorej siostrze zabawił Medwey przez dwa tygodnie, aż do zupełnego jej wyzdrowienia, tak iż dopiero 30. stycznia do Koziny odjechał.

Już w ciągu jego pobytu zauważył Eugeniusz Brodzki, że żona bez potrzeby przesiaduje nieustannie w pokoju Bieniedzkiej, gdzie także dr. Medwey ciągle był obecnym, a spostrzeżenie to niemile go dotknęło, zwłaszcza, gdy znał go z reputacyi, jako człowieka lekkich obyczajów, goniącego za miłostkami. Jakkolwiek tedy miało być już dawniej postanowionem, że po wyzdrowieniu Bieniedzkiej Brodzcy ją odprowadzą do Koziny — on nie rad zapewne narażać żonę na dłuższy pobyt w tak niepożądanem towarzystwie, zmienił projekt i odwołał wyjazd do Koziny.

Wszelako Janina Brodzka żadną miarą na to zgodzić się nie chciała i mimo stanowczych przedstawień męża, pojechała do Koziny z Bieniedzkimi i dr. Medweyem.

Brodzki podrażniony tym jej uporem, zapowiedział jej, aby z Koziny nie wracała do domu, lecz jechała do swych rodziców do Wyżnicy. Następnie wysłał za nią suknie do podróży potrzebne, z listem, w którym powtarza zlecenie, aby się udała do rodziców, a kończy go słowami: „żegnam Cię zawsze — Twój Eugeniusz".

Pismo to posłużyło Janinie Brodzkiej za pretekst do wytoczenia przed Bieniedzkimi i Medweyem całego szeregu oskarżeń przeciw mężowi. Opowiedziała im, jak ją podczas zabawy w dniu 30. grudnia pobił, dając do zrozumienia, że podobne wypadki już i przedtem się zdarzały i objawia zamiar nie wracania więcej do domu. Tymczasem Brodzki ochłonąwszy rychło z pierwszego gniewu, uprosił już nazajutrz sąsiada swego, Mieczysława Janickiego, by pojechał do Koziny i nakłonił żonę do powrotu, a przynajmniej do bezzwłocznego opuszczenia Koziny, na czem mu najbardziej zależało. — Janicki podjął się zlecenia, lecz zastawszy Brodzką mocno wzburzoną, poprzestał na jej obietnicy, że stosownie do woli męża, wyjedzie jak najprędzej z Koziny i uda się do Wyżnicy. Wbrew przyrzeczeniu, jednak zabawiła w Kozinie jeszcze trzy dni i dopiero 3 lutego odjechała do Lwowa zabierając z sobą sługę Katarzynę Prohaskę, którą w tym celu z Borek sprowadziła.

Odtąd — jeżeli nie wcześniej — zaczyna się między Brodzką a dr. Medweyem stosunek całkiem poufały, następują tajne schadzki, korespondencye, które trwają pomimo, że jednocześnie toczą się między zwaśnionymi chwilowo małżonkami układy pojednawcze. Pierwszy krok do zawiązania romansu, jak zeznaje Brodzka, uczynił dr. Medwey, jeszcze podczas pobytu w Borkach, wręczając jej za pośrednictwem siostry, Bieniedzkiej, liścik, w którym wyznaje jej swą miłość. Ona na razie nie daje żadnej odpowiedzi, chociaż nie przeczy, że skłonną była wejść z nim w stosunek czysto platoniczny, polegający na wymianie myśli i uczuć drogą korespondencyi.

Nazajutrz po jej wyjeździe, opuścił także dr. Medwey Kozinę i zatrzymał się również we Lwowie, gdzie się wnet spotkali — widocznie nie z przypadku, bo on jej doręczył list od siostry, poczem odwiedzał ją w hotelu i dłuższe chwile sam na sam z nią spędzał. Po dwu dniach, 5 lutego odjechała Brodzka ku Wyżnicy, lecz z zamiarem zatrzymania się po drodze w Kołomyi u krewnych. Dr. Medwey towarzyszył jej do samej Kołomyi, zkąd sam wrócił, ona zaś zanocowawszy w hotelu, nazajutrz przybyła do Wyżnicy. Eugeniusz Brodzki, pragnąc wyjść jak najprędzej z niemiłego położenia, udał się za żoną do Lwowa, a gdy mu tu powiedziano, że będąc u kilku osób z rodziny skarżyła się na doznane od niego krzywdy — uprosił swą ciotkę Amelię Słonecką, by z nim jechała do Wyżnicy, w celu poparcia jego usiłowań ku pojednaniu z żoną. Przybyli tam 7 lutego i tegoż dnia za interwencyą miejscowego proboszcza, ks. Klemensa Enzingiera, spotkali się oboje Brodzcy w domu kuzyna br. Kaprego. Małżonkowie porozumieli się zupełnie, przebaczyli sobie wzajemnie urazy, postanowili nadal żyć z sobą w zgodzie, a jedynie ze względu na rozstrój nerwowy, w jaki ona od czasu choroby i śmierci jedyuego dziecka popaść miała, uznali za potrzebne przez jakiś czas mieszkać osobno.

Z obopólnej narady wynikło, że mąż wystara się dla niej o paszport celem wyjazdu do Warszawy, gdzie mieszka jego rodzina, ona zaś zatrzyma się jeszcze trochę u swych rodziców, pojedzie do Lwowa i tam u jego krewnych, Słoneckich, lub hr. Skarbków, oczekiwać będzie paszportu. Z tem postanowieniem odjechał Brodzki uspokojony, a po drodze zatrzymał się z ciotką w Kołomyi. Tu jednak dopędził go wnet ks. Euzinger z wiadomością, że żona doznając wiele przykrości ze strony rodziców, którzy się na te projekta nie godzą, pragnie jak najprędzej dom ich opuścić i wzywa go, by ją ztamtąd natychmiast zabrał. Żądaniu temu uczynił on zadość, wrócił do Wyżnicy, oboje 8. lutego wyjechali, a w Kołomyi znowu się zatrzymał, ona zaś podążyła dalej w kierunku Lwowa.

Dr. Medwey tymczasem nie zasypiał sprawy. Pod datą 8. lutego pisze do Brodzkiego list adresowany pierwotnie do Wyżnicy, który dostawszy się później w ręce męża, wykrył całą tajemnicę. W piśmie tem powołując się na jej dawniejsze korespondencye, z których ostatnia zdradzać miała zwątpienie lub chwiejność — dodaje jej odwagi, zachęca do wytrwałości, kreśli obrazy przyszłego szczęścia, a treść i ton w jakim do niej się odzywa, dowodzą, że już wtedy oboje bardzo ścisłym węzłem byli z sobą złączeni. — Nie mniej i ona przyznaje, że chociaż miała postanowienie zerwać występny stosunek i pogodzić się z mężem, pragnęła jednak przed ostatecznym terminem widzieć się z kochankiem i osobiście wyjawić mu swe zamiary. Dała mu więc znać by 8. lutego oczekiwał ją w Stanisławowie, tam się rzeczywiście spotkali i 9. lutego razem przybyli do Lwowa. Ona stanęła ze sługą w hotelu Europejskim — on w Centralnym — widywali się przez dwa dni, lecz ona nie spieszyła się z wypowiedzeniem ostatniego słowa, a gdy on d. 11. do Morszyna odjechać był zmuszony, wezwała go wnet do powrotu, jak twierdzi w tym celu, aby mu dopiero teraz oznajmić, że go nieodwołalnie porzuca i na zawsze pożegna. Wskutek tego wezwania przybył dr. Medwey już 12. lutego po południu do Lwowa, Brodzka oczekiwała go na dworcu kolejowym, sama wyręczyła go w najęciu pokoju dla niego w hotelu Angielskim i tamże pozostała z nim razem do późnej nocy.

Eugeniusz Brodzki pożegnawszy się z żoną w Kołomyi, powrócił 11. lutego do domu a tegoż dnia odebrał z poczty list do niej adresowany do Wyżnicy, nadany 8. lutego w Stryju, a z Wyżnicy wysłany do Borek. Tknięty złem przeczuciem, otworzył takowy, i okazało się, że był to właśnie ów miłośny list dr. Medweya, o którym wyżej wspomniano. Bezwłocznie wyjechał do Lwowa i przybywszy tu 12. lutego w południe, dowiedział się, że żona jego stoi w hotelu Europejskim. Portyer oznajmił mu, że odjechała po południu na dworzec kolejowy. Działo się to właśnie w tym czasie, gdy Brodzka i Medwey przebywali w hotelu Angielskim.

Brodzki nie mogąc się doczekać jej powrotu, spędził resztę dnia na bezowocnych poszukiwaniach, a przyszedłszy późnym wieczorem do swego mieszkania w hotelu Francuskim, usiadł przy oknie, spoglądając na ulicę. Dopiero po północy ujrzał przy świetle latarni sanki jednokonne wiozące jego żonę od ul. Karola Ludwika w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Przed hotelem Europejskim sanki stanęły, żona wysiadła i weszła do sieni, towarzysz jej zaś w tę samą stronę odjechał.

W łatwem do pojęcia oburzeniu pobiegł Brodzki do hotelu Europejskiego, zapukał do oświetlonego jeszcze mieszkania swej żony, gdy mu nie otwierano, wybił szybę w drzwiach oszklonych, otworzył je, a wpadłszy do środka okazał żonie ów fatalny list i nie słuchając jej kłamliwych wymówek, uderzył ją w twarz i wyszedł.

Sprawdziwszy następnie, że mężczyzna, który odprowadzał jego żonę do hotelu, pojechał do hotelu angielskiego, udał się tamże pod wskazany przez portyera nr. 11 i zażądał z dr. Medweyem rozmowy. Ten jednak nie otwierając drzwi, odprawił go z niczem.

Po tem zajściu Brodzka wkrótce wysłała przez sługę hotelowego list do dr. Medweya, a otrzymawszy jego odpowiedź, wymieniła z nim jeszcze dwukrotnie korespondencyę. Tej samej nocy około 3 godziny dr. Medwey wyjechał z hotelu karetką jednokonną nr. 64, kazał furmanowi stanąć niedaleko skrętu z ulicy Karola Ludwika na ulicę Kopernika, przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego, zapowiedział, że tu poczeka na pewną osobę, która wkrótce przybędzie, żądał aby ich zawiósł wprost do Basiówki (pierwsza stacya za Lwowem w kierunku do Stryja), gdy jednak dorożkarz z powodu ciężkiej drogi odmówił, stanęło na tem, że pojadą na główny dworzec kolejowy. Po upływie pół godziny zajechała w to samo miejsce karetka wiozącą Janinę Brodzką. Medwey zabrał ją do swego ekwipażu i kazał jechać, a po drodze zapłacił dorożkarzowi oprócz należytości, osobne wynagrodzenie zalecając mu, aby o tem wszystkiem nikomu nie mówił. Dojeżdżając do dworca chciał się zatrzymać opodal pod drzwiami i dopiero, gdy go dorożkarz uspokoił, że dworzec pusty, pozwolił mu bliżej podjechać i wysiadł wraz z Brodzką, poczem najbliższym pociągiem odjechali ku Stryjowi.

W Uhersku, ostatniej stacyi przed Stryjem wysiedli, przepędzili dzień cały a nocą końmi przez Medweya zarekwirowanemi, odbyli podróż do Morszyna. Tu umieścił ją Medwey w przysposobionym ku temu pokoju budynku zakładowego i zatrzymał pod swoją opieką przez dni 12. Już dawniej układali oni oboje projekt wyjazdu za granicę, mianowicie do Rumunii lub do Węgier, przejście na inne wyznanie i zawarcia związku małżeńskiego. Zamiary te dojrzały podczas pobytu Brodzkiej w Morszynie, z tą odmianą, że na razie miał ją zawieść do Görlitz pod Droznem i tam umieścić u swego przyjaciela dr. Kalbauma. Wiadomość, że agent policyjny zaopatrzony w fotografię Brodzkiej, śledzi za nią w okolicy, zmusiła ich do przyspieszenia wyjazdu i w ostatnich dniach lutego udali się z ominięciem stacyi kolejowej w Morszynie istniejącej przez Skole do Pesztu, stanęli w hotelu „Königin Elizabeth" gdzie ją dr. Medwey jako żonę swą do listy hotelowej zgłosił, ztamtąd jednak dla zmylenia możliwych poszukiwań przenieśli się do hotelu „Erzherzog Stefan", już pod zmyślonem nazwiskiem: „Dr. Edwin br. v. Berkow z żoną". Po paru dniach odjechał Medwey do Morszyna polecając ją opiece swego stryja w Peszcie mieszkającego.

Jeszcze przed jego wyjazdem — Janina Brodzka, jak twierdzi, pod wpływem skruchy i żalu za mężem napisała do niego list, którym mu oznajmia, że pragnie z nim się widzieć i rozmówić, a w tym celu oczekiwać go będzie w dniach 6., 7. i 8. marca na miejscu oznaczonem. Brodzki otrzymawszy ów list, wzbraniał się jechać osobiście na spotkanie z wiarołomną żoną, jednak nie odepchnął bezwarunkowo jej żądania, lecz uprosił swego brata przyrodniego, Wiktora Kisielnickiego z Warszawy, by go w tem przykrem zadaniu wyręczył. Wiktor Kisielnicki wraz z żoną Zofią przybył już 7. marca do Pesztu tego samego dnia wyszukali Janinę Brodzką, zabrali ją do siebie. Przed obojgiem Kisielnickimi opowiedziała Brodzka z zupełną szczerością wszystko, co w ostatnich czasach zaszło, zwierzyła się im ze wszystkich myśli i pobudek swego postępowania i przyrzekając poprawę wyraziła mocne postanowienie zerwania na zawsze stosunku z Medweyem. Obawiając się spotkania z nim, wyjechali wszyscy troje 10. marca do Pesztu, lecz już 12. on zawiadomiony przez stryja, wyśledziwszy ich pobyt, zjawił się w Granie i zażądał rozmowy z Brodzką. Ona nie odmówiła wprawdzie, lecz dała mu tym razem ostateczną odprawę, powtarzając to samo, co przyrzekła Kisielnickim. Zarazem zwróciła mu kwotę 200 zł., którą on w ciągu 3 tygodniowego wspólnego pożycia na jej potrzeby miał wydać. Pieniądze te dr. Medwey przyjął bez wahania. Kisielniccy odwieźli Brodzką do Krakowa, umieścili w klasztorze Nazaretanek i odtąd o ile wiadomo nie widziała się więcej z dr. Medweyem.

Powyższy zarys przebiegu sprawy i wszelkie zawarte w nim szczegóły, czerpane są z zeznań osób, biorących bezpośredni udział w przedstawionych wypadkach a mianowicie Eugeniusza Brodzkiego, który wniósłszy jeszcze przed pojedynkiem 23. lutego b. r. skargę do c. k. nadprokuratoryi Państwa, dnia 27. lutego przez sędziego śledczego został przesłuchany — dalej Janiny Brodzkiej, jej rodziców, Bronisława i Amelii Słoneckich, Wiktora i Zofii Kisielnickich, Agnieszki Brodzkiej (matki Eugeniusza), Pauliny Rudkowskiej, dr. Erazma Romanowskiego, Mieczysława Janickiego, ks. Klemensa Enzingera, Katarzyny Prohaskowej, sług hotelowych: Michała Szczerbaka, Jana Kulpy, Jana Werbowskiego, Jana Łyczaka, Antoniego Marcichowego, wreszcie dorożkarza Jędrzeja Semszyna.

Faktów tych zresztą sam obwiniony po większej części nie przeczy, usiłuje tylko rozumowaniem osłabić ich doniosłość, przedstawiając w świetle dla siebie korzystnem i wykazując, że działanie jego wolnem było od pobudek karygodnych. Wszelako obrona ta z wynikiem śledztwa żadną miarą pogodzić się nie da.

Korzystając z pozorów rzucających cień na małżeńskie pożycie Brodzkich, zasłania on się tem, jakoby między nimi z powodu niedających się załagodzić niesnasek, nastąpiło już było rzeczywiste rozłączenie — ona bowiem opuściła męża z zamiarem niewracania nigdy i faktycznie przestała już do niego należeć, on zaś nietylko zgodził się na to, lecz nawet uczynił pierwszy krok w tym kierunku, oznajmiając jej listem z 30. stycznia, że ją na zawsze żegna.

Założenie to i wysnute zeń wnioski są wręcz fałszywe. Jak się wykazuje z przesłuchania Brodzkiej, tudzież osób należących do rodziny jednej i drugiej strony, niemniej ludzi obcych im, bezstronnych, którzy mieli też możność poznać usposobienie Brodzkich, słyszeć ich własne wynurzenia o swem pożyciu i sprawdzać je własnemi spostrzeżeniami, — panowała w tem stadle przez więcej jak dwa lata i prawie do ostatnich czasów — najlepsza harmonia, oparta na tem samem uczuciu, dla którego się połączyli, na wzajemnem zaufaniu i szacunku. Pierwszym i jedynym udowodnionym faktem zamącenia zgody, jest owo zajście podczas zabawy w domu Brodzkich dnia 30. grudnia 1891, przy którem on, jak się później sam szczerze przyznał Mieczysławowi Janickiemu, — podniecony trunkiem do bezprzytomności, targnął się na swą żonę w sposób istotnie brutalny. Mimo tego jednak, ani bezpośrednio po owem smutnem zdarzeniu, ani przez dnie następne nie było mowy o rozłączeniu, bo Janina Brodzka, znając dobre serce a tylko porywczy temperament męża, widocznie przebaczyła mu to chwilowe zapomnienie się. Dopiero z rozbudzeniem w niej uczucia dla innego człowieka, wraca pamięć doznanej od męża krzywdy, z czego obwiniony zręcznie i skwapliwie korzysta. Ani osnowa wspomnianego listu, ani wyrwane z niego słowa: „żegnam cię na zawsze", nie uprawniały do przypuszczenia, iżby Brodzki nosił się na prawdę z myślą oddalenia żony od siebie. Wszakże zaraz nazajutrz, a jeszcze w obecności dr. Medweya, przybywa do Koziny wysłannik jego, Mieczysław Janicki, z propozycyami zgody, a chociaż przedstawienia jego częściowy tylko skutek odniosły, nie ustaje Brodzki w zabiegach pojednawczych, jedzie za żoną natychmiast do Lwowa, następnie do Wyżnicy, wchodzi z nią w układy, uwieńczone pomyślnym skutkiem, czyni jej wszelkie ustępstwa, świadczące o szczerej chęci dogodzenia jej potrzebom fizycznym i moralnym, i powraca uspokojony, by plan w obopólnem porozumieniu powzięty wykonać! Lecz dzieło jego zburzył nieszczęsny wpływ obwinionego. Kreśląc stosunek swój z Janiną Brodzką, usiłuje podsądny przedstawić rzecz w taki sposób, jakby ulegał jedynie szałowi, w jaki ona bez żadnej z jego strony zachęty i podniety popadła, a oddawał się ciągle nadziei, że ją czas z chwilowego kaprysu wyleczy. Czynił zadość jej żądaniom tylko z obawy, aby w przystępie rozdrażnienia nie odebrała sobie życia, bo miała w tym celu przygotowany rewolwer, którego on, mimo wszelkich usiłowań, odebrać nie był w stanie. Sądził wreszcie, że okazując jej miłość, zdoła ją tem skuteczniej od siebie odstręczyć, wiedział bowiem, że ona należy do kobiet, które tylko szorstkiem i chłodnem obchodzeniem się można do siebie przywiązać.

Aby argumenta te ocenić, jak na to zasługują, dostatecznie jest odczytać złożone do aktów listy, których treść odurzająca najlepiej wyświeca rzeczywiste zamiary i pobudki jego postępowania i wystarczy zaznaczyć, że on sam dał jej nabity rewolwer, który odtąd z jego wiedzą zawsze przy sobie nosiła.

Wywiezienie Brodzkiej ze Lwowa w nocy z 12. na 13. lutego b. r. usprawiedliwia obwiniony tem, że ona sama po scenie wyprawionej przez męża, zażądała, by jej dopomógł do ucieczki. W tym też duchu pisał do niej wtedy, gdy sama w Peszcie zostawała, z Morszyna pod datą 5. marca, żądając od niej przysłania listu, którym go wzywa, aby dla ratowania zagrożonego jej życia, dla ochrony przed brutalnymi napadami ze strony męża, ułatwił jej wyjazd za granicę, w przeciwnym bowiem razie zdecydowaną jest śmierć sobie zadać. List ten miał posłużyć obwinionemu do uchylenia się od odpowiedzialności wobec sądu i wyraźnie w tym celu daje on jej szczegółowe instrukcye co do formy i układu, aby wiarygodność jego nie mogła być zakwestyonowaną. Ponieważ korespondencye wymieniane między Brodzką a dr. Medweyem owej nocy, nie dostały się do aktów sądowych, trudno napewne wiedzieć, z czyjej strony wyszła pierwej myśl opuszczenia Lwowa i wspólnej ucieczki. Jest to jednak rzeczą mniejszej wagi, bo gdyby nawet istotnie od niej wyszła inicyatywa, to nie wolno było obwinionemu spełnić podobnego żądania, a w tem właśnie leży istota zarzuconego mu czynu karygodnego, że wiarołomną żonę w porozumieniu z nią z pod władzy męża uprowadził. Gdy zaś sposób wykonywania tego czynu był niewątpliwie chytry, tajemny, połączony z rozmaitymi podstępami i fortelami, przeto obwiniony odpowiadać ma za zbrodnię gwałtu publicznego wedle § 96 u. k.

Śp. Brodzki nie był człowiekiem, któryby wyrządzoną mu hańbę puścił płazem. Zaraz po owej fatalnej nocy 13. lutego napisał on do dr. Medweya list piętnujący jego postępowanie, a przewidując, że on odpowie na prowokacyę, wskazał mu dwóch zastępców, których do załatwienia sprawy upoważnił. Dr. Medwey nie spieszył się, dopiero przy końcu lutego odpisał zapowiadając przybycie swych pełnomocników, którzy nareszcie aż w drugiej połowie marca zgłosili się z wyzwaniem, podnosząc jednak równocześnie zarzut, jakoby wobec wytoczenia śledztwa sądowego, pojedynek nie mógł mieć miejsca. Gdy jednak sąd honorowy złożony z niewiadomych osobistości, przeszkody tej nie uznał, ułożono warunki, oznaczono czas i miejsce spotkania.

Po stronie Brodzkiego interweniował c. i k. porucznik artyleryi Edmund Słonecki — po stronie przeciwnej dr. Banecki, lekarz zamieszkały w Baccau w Rumunii. Czy oprócz nich i inne jeszcze osoby brały udział w charakterze sekundantów, nie zostało sprawdzonem. Postanowiono pojedynek na pistolety z trzykrotną wymianą strzałów, gdyby zaś obeszło się bez cięższej rany, miała nastąpić walka na pałasze z dozwolonemi pchnięciami. Stosownie do umowy, zjawili się zapaśnicy i sekundanci dnia 4. kwietnia rano w lasku położonym niedaleko granicy przy drodze wiodącej z Suczawy do najbliższej miejscowości rumuńskiej Burdujani. Sprowadzono także dwóch lekarzy a to: dr. Hellmana ze Lwowa po stronie Brodzkiego a lekarza rumuńskiego niewiadomego nazwiska po stronie dr. Medweya. Oprócz tego znalazł się na placu walki także Tomisław Rozwadowski, rzekomo jako widz nieczynny.

Przebieg pojedynku znany jest z relacyi samego obwinionego, niemniej naocznych świadków: dr. Hellmana, Słoneckiego i Rozwadowskiego. Zeznania ich co do pewnych szczegółów, różnią się między sobą, to jednak jest niewątpliwem, że pierwsza wymiana strzałów nie miała żadnego skutku, w drugiej Brodzki otrzymał nieszkodliwą kontuzyę w prawy bok i znowu chybił całkiem, poczem stanął ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, zwrócony prawym bokiem do przeciwnika, a dr. Medwey po pauzie, która wszystkim obecnym wydała się dość długą, a wedle zeznania porucznika Słoneckiego wynosiła ściśle 35 sekund, mierząc, wystrzelił i Brodzkiego trupem na miejscu położył. Kula jego nadwerężywszy prawe ramię, przebiegła klatkę piersiową w okolicy pachowej, przeszyła prawe płuca, rozerwała (arteryę) aortę i ugrzęzła głęboko w lewem płucu.

Udowodnionem jest przeto, że obwiniony dopuścił się także zbrodni pojedynku z wynikiem śmiertelnym, w którym on sam był stroną wyzywającą.

Po odczytaniu tego aktu oskarżenia przystąpiono do

przesłuchania oskarżonego.

Obwiniony nie poczuwa się do oskarżenia, zarzucającego mu zbrodnię gwałtu. Do odbycia pojedynku był moralnie zmuszony — nie poczytuje więc go sobie również za winę. Wyjazd z dnia 12. na 13. lutego nastąpił z odmiennych motywów, niż akt oskarżenia podaje. Pani Janinie Brodzkiej groziło ze strony męża niebezpieczeństwo utraty życia i prosiła oskarżonego, by wyjechał z nią za granicę. Wezwania te powtarzała mimo pisemnych perswazyj obwinionego. Wobec tego za obowiązek swój uważał uwolnić ją, biedną kobietę, z rąk rozjuszonego męża, uwolnić ją wprost przed napaścią. Motywa, gdyby były inne, tworzyłyby zbrodnię, lecz nie tworzą jej motywa istniejące. Poznał dr. Medwey p. Janinę Brodzką w Borkach Małych tego roku 16. stycznia, w majętności jej męża— przedtem się z nią w ogóle nie widział. Bawił oskarżony w Borkach przez dni czternaście. Zatrzymała go p. Janina Brodzka z obawy przed recydywą, w którąby wpaść mogła siostra dr. Medweya, rekonwalescentka.

Przew. Czy pan leczył swą siostrę, czy inni lekarze?

Osk. Ja odbywałem właściwą kuracyę.

Przew. Czy siostra miała osobny pokój, czy wspólny z p. Janiną Brodzką?

Osk. Zupełnie osobny.

Przew. Czy i p. J. Brodzka przesiadywała w tym pokoju?

Osk. Przesiadywała dość często, a narażając się nawet na zakażenie, całowała siostrę. Na moje przestrogi odpowiadała, że jej o życie nie chodzi.

Przew. Z jakiego powodu pańska siostra przybyła do pp. Brodzkich?

Osk. Z powodu choroby córeczki p. Brodzkiej. Córeczka umarła, moja siostra została więc, aby pocieszać p. Brodzką, tymczasem sama się zaraziła.

Przew. Czy pańska siostra zawezwała pana do siebie?

Osk. Tak, moja siostra. Po wyzdrowieniu miała jechać pani Brodzka do Koziny, z czem się kilkakrotnie dała słyszeć. Mąż nie chciał na to pozwolić, ale przy wyjeździe nie sprzeciwiał się. Tam w Kozinie, dokąd i ja się udałem, opowiadała pani Brodzka, że mąż obchodził się z nią brutalnie, że ją bił, że tylko na pozór panowała zgoda. W ostatnich czasach przed zapowiedzianą zabawą, mąż wpadł do jej pokoju i pobił ją tak dotkliwie, że przyjmować musiała gości z podwiązanymi oczyma. Tego dnia nastąpiło poronienie.

Przew. Co pisał ś. p. Brodzki do żony po jej odjeździe?

Osk. Pisał: Najlepiej nie wracaj już do domu, skoroś raz postanowiła, żegnam cię na zawsze.

Przew. Zkąd pan ten list wziąłeś?

Osk. Dała mi go do przeczytania p. Brodzka.

Przew. Jakie wrażenie sprawił list na p. Brodzkiej?

Osk. Przyjemnej niespodzianki — możnaby powiedzieć. A i pan Mieczysław Janicki po rozmowie z p. Brodzką, choć przyjechał, by ją nakłonić do powrotu, wyznał, że nie może korzystać ze swego pełnomocnictwa; — widzi, że dla niej nie ma innego wyjścia, tylko zaniechanie powrotu do domu. Gdym przybył do Lwowa, nie miałem zamiaru zatrzymywać się tam. Na dworcu zastałem p. J. Brodzką, która wiedziała o moim przyjeździe. Odwiozłem p. Brodzką do hotelu Georga. Od tego czasu zawiązał się między nami stosunek.

---

*) §. 161 u. k. opiewa: Jeżeli z pojedynku wynikła śmierć jednego z pojedynkujących się, natenczas zabójca ukaranym być ma **ciężkiem więzieniem** od 10 do 20 lat.

§. 162 u. k. opiewa: W każdym razie wyzywający na dłuższy czas skazanym być winien, niźliby był skazanym, gdyby sam był wezwanym.

§. 34 u. k. opiewa: Jeżeli zbrodniarz popełnił więcej zbrodni, będących przedmiotem tego samego dochodzenia i osądzenia, wówczas ukaranym być winien wedle tej zbrodni, na którą surowsza kara jest ustanowioną, wszakże ze względu i na inne zbrodnie.

Przew. A w Borkach nic się nie zawiązywało?

Osk. Niezupełnie. P. Janina okazywała mi tylko sympatyę.

Przew. Jakież były objawy tej sympatyi?

Osk. Zatrzymywała mię gwałtownie w Borkach.

Przew. A śp. mąż tej sympatyi nie dostrzegł?

Osk. Tego ja nie wiem.

Przew. A we Lwowie stosunek przekroczył sympatyę?

Osk. Tak jest, widziałem niepokój p. Brodzkiej, a w powozie, gdy odwoziłem ją do hotelu, przyszło między nami do wyznania.

Przew. Ile razy pan odwidzał w hotelu p. Brodzką?

Osk. Dwa razy.

Przew. Czy gdyś pan jechał z p. Brodzką do Kołomyi, Katarzyna Prochaska jechała w tym samym przedziale.

Osk. Nie, w innym. Gdym wrócił do Morszyna, otrzymałem od pani Brodzkiej list z Kołomyi. Po odebraniu drugiego listu odpisałem — a później odebrałem telegram, bym przyjechał do Stanisławowa.

Przew. A czyś pan przedtem do p. Brodzkiej nie pisał?

Osk. Nie.

Przew. Co było w telegramie?

Osk. Nie przypominam sobie, w każdym razie dowiedziałem się z niego, że p. Brodzka jedzie do Lwowa i że mię oczekuje w Stanisławowie. Przybywszy do Stanisławowa dowiedziałem się, że mąż chciał się z p. Brodzką pojednać w domu rodziców, ale ona nie chciała zgody. Ostatecznie pozornie się pogodziła z p. Brodzkim, ale w drodze powiedziała mężowi, że żąda seperacyi. Mąż przystał na to. Tak mi opowiadała pani Brodzka.

Przew. No, i pojechał pan z p. Brodzką do Lwowa?

Osk. Tak.

Przew. A Prochaska była w tym samym przedziale?

Osk. Nie, w tym samym przedziale nie była. We Lwowie odwiedzałem p. Brodzką w hotelu Europejskim. Tu oświadczyła mi, że pojedzie do Królestwa, do krewnych męża.

Przew. A w jakim celu p. Janina wezwała pana do Stanisławowa?

Osk. Ażeby się ze mną zobaczyć. O zerwaniu ze mną mowy nie było.

Przew. Kiedy pan odwidzał w hotelu p. Brodzką?

Osk. Około drugiej; bawiłem tam może dwie godziny. D. 12 przybyłem znowu do Lwowa, by się z p. Brodzką pożegnać, ponieważ miała odjeżdżać do Królestwa. Prosiła mię, bym jej nie odwidzał w hotelu Europejskim, więc pojechaliśmy do Angielskiego.

Przew. Pamięta pan numer pokoju hotelu?

Osk. Zdaje mi się, że 11. Odwiozłem potem p. Brodzką do hotelu europejskiego — sam wróciłem do angielskiego. Tu odebrałem list od p. Janiny, że w tej chwili był mąż, że zbił ją okropnie, że ona wobec tego musi jechać za granicę. Początkowo radziłem jej listownie, by próbowała pogodzić się w mieście, ostatecznie jednak umówiliśmy się, że udamy się razem dalej w podróż ze Lwowa, nie wiedzieliśmy jednak sami gdzie.

Przew. A przedtem, zanim pan list dostał, nie był nikt u pana?

Osk. Owszem, pukał do mnie Brodzki, ale zdawało mi się, że nie wypada mi wpuszczać go. Sądziłem, że musiał zajść jakiś wypadek, że może mąż nie ma pewności, żeśmy jechali razem, że jeszcze się da uratować sytuacya, więc odrzekłem zmienionym głosem, że tu nie mieszka dr. Medwey. Później, już po zajściu śp. Brodzkiego z żoną, pojechaliśmy pociągiem i wysiedliśmy w Uhersku. Tu sama p. Janina podała mi projekt, byśmy się udali ztąd do Morszyna. Przybyliśmy tam w nocy.

Przew. Czemuż p. Brodzka nie wyjechała do Królestwa?

Osk. Chciała się na razie ukryć przed możliwą napaścią męża w miejscu, gdzieby jej śp. Brodzki nie spodziewał się znaleźć.

Przew. Jakież były dalsze plany p. Brodzkiej?

Osk. Chciała udać się za granicę i bawić tam do swej pełnoletności.

Przew. A w Morszynie gdzie bawiła?

Osk. W zakładzie kąpielowym.

Przew. Czy ojciec pański wiedział o tem.

Osk. Wiedział. Zresztą oprócz niego nikt.

Przew. Dlaczego p. Brodzka aż 12 dni bawiła w Morszynie?

Osk. Bośmy nie mieli funduszów na wyjazd. W Morszynie otrzymałem list od Brodzkiego, ubliżający mi w wysokim stopniu. Nadto dowiedziałem się, że p. Brodzką śledzi w Stryju ajent policyjny. Wtedy pojechaliśmy na Węgry, mieliśmy się zaś udać do Görlitz.

Przew. W jakich stosunkach pozostawał pan z p. Brodzką przez tych 12 dni?

Osk. Stosunek nasz, zawiązany we Lwowie, trwał dalej.

Przew. Czemuś pan z panią Brodzką nie jechał przez Galicyę?

Osk. Było to w interesie i jej i moim, by nas nie odkryto przypadkiem. Głównie zaś chodziło o to, by mąż znowu jej w brutalny sposób nie napadł. Przyjechaliśmy do Pesztu. Tu powiedziała p. Brodzka, że wolałaby zostać stale w Peszcie. Hotel, gdzieśmy stanęli, nie nazywał się „Elisabeth", jak powiada akt oskarzenia, ale nazwy sobie nie przypominam. Później odjechałem do domu, uzyskawszy od p. Brodzkiej przyrzeczenie, że będzie pisała do mnie.

Przew. A zkąd się teraz wzięły fundusze na wyjazd?

Osk. Zaciągnąłem pożyczkę.

Przew. Pan opłacałeś sam wszystko?

Osk. Ja wszystko. Jeszcze przedtem w Peszcie, na żądanie p. Janiny, odwidzałem stryja, który przyrzekł opiekę p. Brodzkiej o tyle, o ile mężczyzna winien jest opiekę kobiecie.

Przew. No, ale jakież były dalsze wasze plany?

Osk. P. Brodzka w szale robiła projekt, byśmy przeszli na inne wyznanie i pobrali się, ja jednakże nie zapalałem się do tych planów. Na razie zgadzałem się, nie na seryo oczywiście, wiedziałem bowiem, iż fantazya p. Brodzkiej wygaśnie z czasem.

Przew. Po coś pan dał p. Brodzkiej rewolwer w Kozinie.

Osk. Miała jechać koleją i żądała go dla bezpieczeństwa w podróży.

Przew. Co się stało z tym rewolwerem.

Osk. Tego ja nie wiem,

Przew. Czyś się pan nie obawiał, by sobie życie odebrała?

Osk. Do odebrania życia nie potrzebowała rewolweru, poniewaz zapewniała, że ma truciznę przy sobie. Twierdziła nawet, że jeżeli ją przestanę kochać, to wówczas odbierze sobie życie.

Przew. No a cóż, a na żonę i dzieci pana nie zwracała p. Janina uwagi.

Osk. Ja zwracałem na to uwagę, ale pani Brodzka mówiła, że gdy uzyska pełnoletność i majątek, to żonę moją zaopatrzy stosownie.

Przew. Cóż się stało, gdyś pan wrócił do Morszyna.

Osk. Tu otrzymałem telegram od stryja, bym napowrót jechał do Pesztu. Udałem się tam natychmiast, p. Brodzkiej nie zastałem tam jednak w mieszkaniu. Otrzymałem tylko list od niej, w którym prosiła mię, bym jej nie szukał, i doniosła mi, że sobie życie odbierze, bo tak dłużej żyć nie może. Dowiedziałem się jednak, że p. Janina znajduje się w Granie. Tu oświadczyła mi, że postanawia wstąpić do klasztoru. Na natarczywe żądanie, bym przyjął od niej 200 zł., uczyniłem to ostatecznie. To było nasze ostatnie widzenie się.

O godz. wpół do 12. przerwał przewodniczący posiedzenie na kwadrans. Na galeryę poczyna napływać płeć piękna.

Przew. Jaka była treść listu Brodzkiego do pana?

Obrońca dr. Grek podaje przewodniczącemu list ten w oryginale.

Przew. odczytuje list: „Panie Al. Medwey! Postępek pański podły i nikczemny, skalałbym sobie rękę dając mu zasłużony policzek. Jeśliś pan przytem nie tchórz, to przyszlesz swych sekundantów do p. Piotra Stopczyńskiego, do dni 14".

Osk. Ten list otrzymałem. Zgłosiłem się do p. Piotra Stopczyńskiego i prosiłem przed odjazdem do Pesztu o zwłokę dla załatwienia spraw familijnych. Po powrocie z Pesztu otrzymałem telegram od p. Kisielnickiego, w którym donosił, że p. Piotr Stopczyński interweniować nie będzie i że go zastąpi p. Słonecki; nadto otrzymałem list od dr. Stopczyńskiego.

Obrońca dr. Grek przedkłada telegram i list.

Przew. odczytuje list: „Nie znając awantury w Borkach, postąpiłem nietaktownie przyjmując zawezwanie, zrzekam się interwencyi tembardziej, że sprawa znajduje się na drodze sądowej."

Dr. Medwey. Gdy się dowiedziałem, że sprawa poszła na drogę sądową, uznałem za stosowne powstrzymać się od wysyłania moich świadków. Posłałem zatem p. Józefa Baroniego i p. Edmunda Drohojowskiego do porucznika Słoneckiego. Moi przyjaciele wobec niemożności zgody z sekundantami Brodzkiego, postanowili zwołać sąd honorowy, który rozstrzygnął sprawę ku memu zadowoleniu, na korzyść pojedynku. Warunki pojedynku stanęły, jak zeznałem w protokole. Że warunki były ostre, to stało się na żądanie sekundantów śp. Brodzkiego, sekundanci moi starali się uzyskać łagodne warunki, ale nadaremnie. Miała zatem nastąpić wymiana 3-razowa strzałów, gdyby zaś wynik pojedynku na pistolety był ujemny, miało nastąpić spotkanie na pałasze z dozwolonem pchnięciem.

Przew. Czemu pojedynek miał się odbyć aż w Rumunii?

Osk. Tak ułożyli sekundanci.

Przew. Kto był wyzwany?

Osk. Ja byłem wyzwany, akt oskarzenia mija się z prawdą, dowodem najlepszym list, który tu p. przewodniczący odczytał. Pojedynek się odbył w lasku kilka kilometrów za granicą.

Osk. Oprócz świadków byli lekarze z mojej i Brodzkiego strony. Pistolety nie były ciągnięte, było ich 2 pary. Na dany znak mieliśmy postępować ku baryerze i strzelać w jakimkolwiek czasie bez pierwszeństwa strzału. Pistolet mój wypalił najpierw bez mej woli w górę. Brodzki wystąpił ku baryerze, wystrzelił, lecz pistolet zawiódł, nie wypalił. Brodzki wziął drugi pistolet i ten drugi pistolet zawiódł. Wówczas miało nastąpić ponowne losowanie pistoletów. Brodzki teraz strzelił pierwszy, ja zaraz po nim. Brodzki zawołał: „zdaje mi się, że jestem trafiony". Kula jednak odbiła się od pugilaresu i padła na ziemię. Brodzki oświadczył, że pistolety są za słabo nabite. Nastąpiło trzecie spotkanie. Brodzki strzelił i chybił jak za drugim razem — wówczas ja wystrzeliłem. Brodzki krzyknął; „Jestem trafiony, ratujcie", ale na ratunek już było za późno.

Przew. Czy istotnie były baryery, czy tylko oznaczone.

Osk. Były oznaczone gałązkami.

Przew. Jak długo pan mierzyłeś ostatnim razem.

Osk. Najdłużej 5 sekund.

Przew. Akt oskarzenia powiada, że 35 sekund.

Osk. Nie pojedynkowałem się z zegarkiem w ręku, ale byłaby mi ręka omdlała, gdybym mierzył przez 35 sekund.

Przew. A w protokole zeznałeś pan, że mierzyłeś przez 10 sekund.

Osk. To mogłem rozumieć w ten sposób, że przeciąg czasu między wystrzałem Brodzkiego, a moim wynosił 10 sekund. Nie ma zaś mowy, bym patrzył na muszkę w pistolecie. Nie mierzyłem nigdzie.

Przew. A cóż pan robił przez tych 5 sekund?

Osk. Tyle potrzeba na wyciągnięcie ręki i podniesienie pistoletu.

Przew. Jakie były te pistolety?

Osk. Jakieś stare tureckie.

Przew. Czyś pan często strzelał z pistoletu?

Osk. Może w całem życiu 20 razy.

Przew. A przed katastrofą nie ćwiczyłeś się pan.

Osk. Broń Boże!

Przew. Cóż się dalej stało.

Osk. Po odbyciu się pojedynku, sekundant Wiktor Kisielewski wyjął bilet z kieszeni Brodzkiego i coś na nim napisał. Ja na ewentualny wypadek miałem list donoszący mej rodzinie, że sobie odebrałem życie.

Przew. Akt oskarzenia zarzuca panu, żeś pan pierwszy napisał do p. Brodzkiej list, w którym pan pisałeś, że widzisz jej nieszczęśliwe życie, i że ją chcesz ratować. List ten miała oddać pani Brodzkiej pańska siostra p. Bieniedzka. Tak zeznała p. Brodzka.

Osk. Ja o tem nic nie wiem.

Przew. Czyś pan nie zauważył w Borkach, że mąż krzywo się patrzy na przesiadywanie p. Brodzkiej w pokoju siostry pana.

Osk. Nie zauważyłem.

Przew. Czy panu było wiadome, że pani Brodzka chce z panem zawiązać jaki „platoniczny" stosunek?

Osk. Tego mi p. Janina nie mówiła.

Przew. Po co pan się po raz pierwszy zatrzymał we Lwowie.

Osk. Spowodowało mię do tego spotkanie p. Brodzkiej.

Przew. Czemuś pan nie zerwał stosunku z p. Brodzką, gdyś się pan dowiedział, że mąż zaskarżył pana do sądu.

Osk. Skoro się raz to głupstwo stało, żem stosunek zawiązał z p. Brodzką, trudnoż było później ją wypędzać z domu.

Po godz. 1. odroczono rozprawę do popołudnia godz. 4.

Na popołudniowem posiedzeniu przesłuchiwano dalej dr. Medweya w sprawie gwałtu i pojedynku. Jako motywy swego działania podawał dr. Medwey jedynie zaniepokojenie o los pani Brodzkiej. Stosunek miłośny na postępowanie oskarzonego zupełnie nie wpływał. List ś. p. Brodzkiego do oskarzonego był wyraźnem wezwaniem, nie prowokacyą do wezwania. W pojedynku nie mierzył oskarzony do ś. p. Brodzkiego, ponieważ zbyt był zdenerwowany.

KRONIKA.

Lwów dnia 5. września 1892 r.

Zapiski osobiste. Dr. Lesław Gluziński powrócił wczoraj ze Szczawnicy do Lwowa.

Ślub. W Bobowy odbędzie się dnia 10 b. m. ślub Panny Zofii Dunikowskiej, córki pp. Konstantego i Izabelli z Lovansonów Dunikowskich z Brzany górnej, z p. Józefem Zawadzkim z Rzeszutarów.

Dnia 27. z. m. odbył się w Nazwinie, obok Kołomyi, ślub panny Bronisławy Mianowskiej, z Włodzimierzem Sas Kruszelnickim.

Rządowi komisarze sanitarni. W miastach Jarosławiu i Kołomyi, gdzie roboty około assanacyi miasta przedsiębrane przez tamtejsze magistraty bardzo powolnym postępowały krokiem, mianowani zostali rządowi komisarze sanitarni, w Jarosławiu koncep. Namiestnictwa Przybylski, — w Kołomyi inżynier powiatowy Nawarski.

Z Zakopanego telegrafują: Węgierski minister sprawiedliwości, Szilagyi, który wczoraj konferował w zamku Podypady z księciem Hohenlohe w sprawie tatrzańskiego sporu granicznego, przybył tu dziś *incognito*, a jutro i pojutrze zajmie się dokładnem oglądnięciem terenu spornego przy Morskiem Oku.

Z Tuczemp piszą nam: Dnia 3 b. m., 310 włościan tuczempskich obrządku gr. kat, przybyło do kościoła rzym. kat. w Jarosławiu, aby tutaj wysłuchać mszy św. Wszyscy ci włościanie przechodzą na obrządek rz. kat.

Handel ojczyzną. Dobra rycerskie Wapno, w powiecie wągrowieckim, mające przeszło 1000 morgów obszaru, sprzedał p. Bolesław Moszczeński Niemcowi Kaumannowi z Frankfurtu nad Odrą. Komisya kolonizacyjna rozparcelowała wieś rycerską Ostrowite trzemeszeńskie i rozdzieliła te parcele między niemieckich ewangelików.

Pierwsza kwarantanna w Stanisławowie. Ubiegłej niedzieli skonstatowano, że niejaki L. Rosenberg golarz i Ch. Eichner krawiec, ten ostatni ze synem, przybyli do Stanisławowa z Hamburga, gdzie jak wiadomo cholera nadzwyczajnie sroży się. Z powodu tego rzeczy ich podano odrażeniu za pomocą aparatu desinfekcyjnego Rychnowskiego, Eichnera zaś ze synem, którzy dnia 24. sierpnia bawili dzień cały w Hamburgu, oddano pod obserwacyę do tut. szpitalu powszechnego, gdzie odosobnieni przebywali do środy. Rosenberga uwolniono od kwarantanny, albowiem stwierdzono, że od czasu wyjazdu jego z Hamburga a przybycia do Stanisławowa upłynęło dwa tygodnie, a w Hamburgu był wtedy, gdy cholera tam nie była wybuchła jeszcze.

Cholera. Z Krakowa donoszą: Wzdłuż suchej granicy austryacko-pruskiej rozciągnęły władze rosyjskie kordon z żandarmeryi, celem zapobieżenia przekradaniu się włościan i podróżnych przez pas graniczny. Na rosyjskich stacyach granicznych znajdują się przy każdym pociągu trzy wozy sanitarne z odpowiednim zapasem przyrządów desinfekcyjnych. Dzisiejsze wiadomości telegraficzne o cholerze, nie są tak bardzo groźne, jak te które zapisywaliśmy w sobotę Oto one: Hamburg — w sobotę zachorowało 235 osób, umarło 197. Brema — w sobotę zmarły tu 2 osoby na cholerę. Berlin — wczoraj zdarzył się tu jeden wypadek śmierci na cholerę. Z innych miast niemieckich i belgijskich nie przyszły żadne wiadomości o wypadkach cholery. W Rosyi cholera stale słabnie, a w Królestwie stosunki zdrowotne są nawet pomyślne. Jedynie z Kijowa przyszła wiadomość, że miała tam ponownie pojawić się cholera, ale wiadomość tę podajemy tylko jako pogłoskę.

Dr. Kusy wyjechał w sobotę w dalszą podróż inspekcyjną w kierunku Brodów i Podwołoczysk.

Z Liberca donoszą do *Narodnich Listów*, że 2 b. m. wieczorem otoczyli Niemcy w ogromnej liczbie Czeską Besedę i zaczęli na Czechów się rzucać. Nastąpiło przykre starcie, dopiero żandarmerya z bagnetami rozdzieliła walczących. Tłumy Niemców z krzykiem rzuciły się na budynek szkolny Maticy i powybijały w nim szyby. To już przechodzi wszelkie granice, jeśli zważymy, że i Niemcy wyszkowscy nie ustają w swych prowokacyach; albowiem zeszłego tygodnia uchwalili d. 3 b. m. wielką wycieczkę ponownie do Pustomierza.

Zmarli. Józef Wincenty Stachowski, dyrektor centralnego zarządu dóbr hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, zmarł w Raju koło Brzeżan, przeżywszy 72 lat.

W Warszawie zmarł Adam Marczewski, długoletni sufler teatrów warszawskich.

Ostatnie wiadomości.

Cesarz zezwolił na ustanowienie drugiej zwyczajnej katedry historyi powszechnej na uniwersytecie we Lwowie. Profesor, który zajmie tę katedrę, wykładać ma w języku ruskim a uwzględniać w szczególności historyę wschodu Europy.

W wykonaniu uchwały sejmowej, zalecającej przedłożenie w najbliższej sesyi projektu takiej operacyi finansowej, któraby umożliwiła pokrywanie niedoborów funduszu krajowego przez dłuższy szereg lat, bez dalszego podwyższania dodatków do podatków i bez zaciągania corocznych pożyczek — uchwalił Wydział krajowy przedstawić sejmowi projekt przeprowadzenia konwersyi długu indemnizacyjnego i zaciągnięcia w tym celu pożyczki w takiej wysokości, któraby wystarczyła na umorzenie długu indemnizacyjnego, wynoszącego kwotę 26,924.427 zł. na cztery procent, spłacalnej w 50 latach.

Ankieta kolejowa odroczona w lipcu na dzień dzisiejszy celem wysłuchania poszczególnych referatów i powzięcia ostatecznych uchwał — nie odbyła dziś posiedzenia dla braku kompletu. Ponowne posiedzenie zapowiedziano na jutro, wtorek o godz. 11 przedpołudniem w Wydziale krajowym.

Cesarz 6. b. m. rano przyjeżdża do Litomierzyc, by ztąd udać się na manewry. Po odbyciu tychże odjeezie dworskim pociągiem do Smirzyc, tu przenocuje w wagonie i 7. b. m. weźmie udział w manewrach, tamże odbyć się mających. Następnie powróci do Wiednia.

Nie uszło uwagi publicznej to, że Giers w przejeździe przez Berlin nie odwiedził Capriviego. Wprawdzie agent rosyjski Murawiew wytłumaczyć miał ministra swego przed kanclerzem niemieckim, stanem zdrowia, berlińskie atoli dzienniki, idąc za petersburskiemi, już z tego powodu domyślają się, że Giers w jesieni ustąpi. Jako następcę wymieniają z powątpiewaniem obecnego kierownika ministerstwa spraw zagranicznych, tajnego radcę Szyszkina, choć być może, że prędzej poseł rosyjski z Berlina, hr. Szuwałow na urząd ten powołanym zostanie.

Rosyjski poseł br. Mohrenheim odmówił — jak wiadomo już z telegramów — przyjęcia sumy 30.000 fr. ofiarowanej na rzecz dotkniętych głodem w Rosyi, a zebranej przez antysemicki organ Drumont'a *Libreparol*; dyplomatycznie dodał zaś, by p. Drumont zebrane pieniądze odesłał wprost komitetowi petersburskiemu, który jedynie jest uprawniony do ich przyjęcia. Odmowa posła rosyjskiego nastąpić miała z wyraźnego rozkazu cara wskutek pewnych dopisków, jakie składkujący czynili. Tak n. p. jeden do swego datku dadał uwagę: „Na nawrócenie cara", inny: „Niech żyje Morés i car!", trzeci: „Carowi, który umie wypędzać żydów", i wiele, wiele podobnych. Cara miał oburzyć zwłaszcza żart o nawróceniu. By jednak zaznaczyć, że odmowa dotyczy li składek przedsięwziętych przez redakcyę *Libre parole*, równocześnie przyjął br. Mohrenheim przesyłkę 464 fr. 70 ct. od francusko-rosyjskiego komitetu w Brest.

Belgradzki organ urzędowy podaje tekst programu rządowego, którego zasadnicze punkty znane już były od chwili mianowania nowego gabinetu. Pierwszy punkt programu, dotyczący polityki zewnętrznej, brzmi: „Dobre stosunki ze wszystkimi, zwłaszcza sąsiednimi mocarstwami, spełnienie wszystkich prawnie przyjętych zobowiązań z najściślejszem przestrzeganiem praw Serbii". Ustępu, dotyczącego „neutralności Serbii w każdym kierunku" brak w tekscie urzędowym zupełnie. Opuszczenie to, dokonane w ostatniej godzinie, jest bardzo znaczące, zwłaszcza, że — jak słychać — tekst przesłanego gabinetom programu ustęp taki zawierał. Ciekawym do tego komentarzem jest rozmowa nowego prezydenta ministrów serbskiego Awakumowicza z korespondentem *N. W. Tagblattu*. Stanowisko Serbii wobec sprawy bośniackiej, macedońskiej i bułgarskiej określił bowiem następująco: „Rząd nie dozwoli wychodźcom bośniackim, macedońskim i bułgarskim nadużywać gościnności serbskiej i tworzyć z kraju serbskiego ognisku rozruchów i spisków przeciw sąsiadom. W Bośni i Hercegowinie żyją bowiem Serbowie w zadawalających stosunkach i serbskości ich bronią prawo i ustawy. Inna rzecz w starej Serbii i Macedonii; tam grozi im zbułgaryzowanie i dlatego tu rząd serbski musi na pokojowej i prawnej drodze dążyć do zapobieżenia tej klęsce narodowej." Czyż to nie dość wymowne? Serbowie chcą widzieć Macedonię serbską, choć naukowo dowiedziono, że jestto kraj rdzennie bułgarski, gdyż dzieło Gopcewica, przemawiające za jego serbskością, jest tendencyjną mimo całej obszerności broszurą.

Telegramy „Gazety Narodowej."

Czerniowce d. 5. września. Wskutek ponownej denuncyacyi, założono na majątek Passakasa, właściciela największych dóbr bukowińskich sekwestr sądowy dla pokrycia ewentualnych kar. za rzekomo przed kilku laty popełnione przekroczenie ustaw o podatku gorzelnianym.

Wiedeń d. 5. września. Cesarz wyjechał dziś na manewry do Litomierzye.

Wiedeń d. 5. września. Dziś otwarty tu został kongres dermatologów. Zapowiedzeni ze wszystkich krajów uczestnicy stawili się prawie wszyscy. W prezydyum kongresu reprezentowane są wszystkie państwa.

Wiedeń d. 5. września. Przy sposobności wczorajszego obchodu 700-letniej rocznicy założenia miasta Wiener Neustadt. P. Prezes gabinetu hr. Taaffe uwiadomił pisemnie komitet urządzający obchód, że stan zdrowia jego wymaga jeszcze nieco wypoczynku, dlatego, niestety, nie może osobiście wziąć udziału w uroczystości.

Paryż d. 5. września. Wedle doniesienia *XIX Siecle* włoscy wychodźcy, którzy do Ameryki wyjechać chcieli i którzy zebrali się na dworcu kolejowym St. Lazare, aby ztąd udać się do Cherbourga, zostali na rozkaz ministra spraw zewnętrznych zawiadomieni, że wskutek kwarantanny zaprowadzonej przez rząd Stanów Zjednoczonej, parostatek „Champagne" zabierze na pokład tylko pasażerów I i II klasy. Wobec tego emigranci powrócili na dworzec lyoński, aby ztąd udać się do domu. Straty, które oni ponieśli, będą im zwrócone. Takie same środki ostrożności będą zastosowane i dla wychodźców z Alzacyi i Lotaryngii.

Paryż dnia 5. września. Prezydent Carnot w swojej podróży do Chambery dokąd się udał na uroczystość stuletniego jubileuszu przyłączenia Sabaudyi do Francyi, wszędzie entuzyastycznie był przyjmowanym. Carnotowi towarzyszy minister spraw zewnętrznych Ribot.

Po powrocie ma odbyć Ribot dalsze jeszcze konferencye z Giersem i Mohrenheimem. Paryskie polityczne koła przypisują olbrzymie znaczenie zjazdowi Carnota z Giersem i królem greckim.

Chambery d. 5. września. Przy sposobności obchodu stuletniej rocznicy pierwszego połączenia Sabaudyi z Francyą, odsłonięty został wczoraj w sposób uroczysty odpowiedni pomnik.

Louneville d. 5. września. Tyfus i desynterya wybuchły epidemicznie pośród tutejszej załogi. Przeszło 100 żołnierzy z pułków kawaleryi i artyleryi zachorowało. Dwóch umarło. Dotknięte epidemią regimenty obozują po za miastem.

Berlin dnia 5. września. Jak dowiaduje się *Post*, cesarzowa Frydrykowa przebędzie pierwszą połowę zimy w Anglii u swej matki i powróci do Berlina dopiero po ślubie księżniczki Małgorzaty.

Norderney d. 5. września. Ks. Bismark przybył tutaj wczoraj i zamieszkał w hotelu Germania.

Catania d. 5. września. Wybuch Etny wzmaga się. Oba strumyki ławy złączyły się teraz w jeden wielki strumień, roznoszący daleko spustoszenia.

Lizbona d. 5. września. Przed gmachem ministerstwa robót publicznych odbyły się wczoraj demonstracye robotników pozbawionych pracy. Policya wielu z nich aresztowała.

Londyn d. 5. września. Wczoraj wysłano do Indyi 70.000 karabinów repetyerów i 5 milionów naboi. I. korpus armii indyjskiej miał otrzymać rozkaz mobilizacyjny.

Wiedeń dnia 5. września godz. 1 min. 45 po południu. Akcje kredytowe 315·75. Akcje alpejskie Towarz. górniczego 67·30. Akcje węgierskie Banku kredytowego 361·50. Akcje Banku anglo-austrjackiego 152·—. Akcje Unionbanku 244·—. Akcje kolei Karola Ludwika 215·50. Akcje kolei Północnej 281·75 Akcje kolei Południowej (Lombardy) 101·—. Akcje kolei Alföldzkiej (losy tureckie) —·—. Akcje kolei Państwowej 298·12. Akcje kolei Lwowsko-Czerniowieckiej 243·50 Akcje kolei węgiersko-północno-wschodniej 197·—. Losy komunalne wiedeńskie 161·—. Akcje Tow. tureckiego zarządu tytoniu 185·75. Galic. oblig. indemn. 104·75. Akcje kolei północno-zachod. (lit. B. Elbethal) 228·75 Losy regulacji Cisy —·—. Akcje Banku dla krajów koronnych 222·50 Akcje Bankvereinu 115·50. Rosyjski rubel papierowy 120·—. 4²/₁₀% renta wspólna —·—. 5% renta austr. papierowa —·—. 4% renta austr. złota —·—. Renta 4% węg. złota 111·95. 5% renta węg. papierowa —·—. Napoleondory 9·50. Marki niem —·—.

Wiadomości giełdowe.

Lwów dnia 3. Września. (Z Izby handlowej).

	płacą	żądą
I. Akcje za sztukę.		
Kolej galic. Karola Ludw. 200 zł. m. k.	214.—	217.—
Kolej Lwów-Czern.-Jassy po 200 zł. w.	241·50	244·50
Banku hipotecznego po 200 zł. w. a.	330.—	336.—
Banku kredyt. galic. zał. po zł. w. a.	—·—	212.—
II. Listy zastawne za 100 zł.		
Banku hipotecznego galic. 5% los. w 40 lat	100·90	101·60
" " " 5% wyl. 10% pr.	107·50	108·20
" " " 4½% los. w 50 lat	98·20	98·[illegible]
Banku krajowego 4½% los. w [illegible] latach	98·[illegible]0	99·20
Towarz. kred. ziem. galic. 5%	—	—·—
" " " " 4%	96·50	97·20
" " " " 4% los. w 41½ l.	94·70	95·40
" " " " 4½% los. w 52 l.	99·40	100·10
" " " " 5% los. w 56 lat.	94·10	94·80
III. Listy dłużne za 100 zł.		
Gal. Zakł. kred. włośc. w likw. (d. 5%) [illegible]	—·—	—·—
" " (d. 5%) [illegible]	52·—	55·—
Ogólnego [illegible] Zakładu dla Galicyi i Bukowiny w likwidacji 4% wyl. w [illegible] lat	59·—	—·—
IV. Obligi za 100 zł.		
Indemnizacyjne galic. 5% m. k.	104·50	105·20
Galic. funduszu propinacyjnego 4%	94·20	94·90
Bukow. funduszu propinacyjnego 5%	101·30	102·—
Kom. banku krajowego 5% w. a. I. em.	101·—	101·70
" " " " II. em.	101·—	101·70
Pożyczka krajowa z roku 1873 6% [illegible]	103·50	—·—
" " z roku 1888 [illegible]%	97·60	98·30
" " 4%	91·40	92·10
V. Losy.		
Losy miasta Krakowa	22·75	24·75
Losy miasta Stanisławowa	29·50	32·50
VI. Monety.		
Dukat cesarski	5·64	5·74
Napoleondor	9·46	9·56
Półimperyał rosyjski	9·60	—·—
Rubel rosyjski srebrny	1·23	1·33
Rubel rosyjski papierowy	1·19½	1·21½
100 marek niemieckich	58·40	59·—

Przyjechali do Lwowa

dnia 5. września.

Hotel Zorza. J. Brocka z Wołoczysk. K. Romański z Wołynia. K. Zaleski z Wiednia. J. Rosenstock z Rusiatycz. J. br. Berghof z Jarosławia. M. Aywas z Wyżnicy. A. Haring z Sangenberg. J Klein z Wieselburg. W. Anisch z Drohowyża.

NADESŁANE.

(Rubryka ta nie pochodzi od Redakcji, która też żadnej odpowiedzialności za nią nie bierze na siebie.)

Wystawa przemysłu budowlanego na placu i w gmachu Szkoły politechnicznej otwarta jest codziennie od 10 rano. Wstęp 20 ct. — katalog do nabycia w kasie po cenie 20 ct. Wieczorem koncert muzyki wojskowej — oświetlenie elektryczne.

36

Miłość czy zazdrość?

ROMANS

GEROLAMA ROVETTA.

(Ciąg dalszy).

— Powiedziałam już, że burza zawsze na mnie tak działa.

Zerwała się z krzesła. Nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu, potrzebowała ruchu, oszołomienia.

— Czuję się bardzo dobrze. Burza ta podoba mi się. Lubię burze i grzmoty. Chciałabym w tej chwili być pod gołem niebem.

W czasie, gdy się Reali śmiała, że Eliza lubi burzę a następnie śmiała powtórnie z jej chęci znajdywania się w tej chwili na dworze, margrabina spytała nagle:

— Cóż się dzieje z Lanzonim, że go nigdzie nie widać?

— Od miesiąca bawi w Air les Bains i zgrywa się w niemożliwy sposób.

— Ach grać! przegrywać! choćby z samym dyabłem grać do współki, z nim we wszystkiem zawrzeć przymierze — zawołała Eliza, zapalając nowego papierosa.

Paląca główka od zapałki wobec silnego potarcia oderwała się i padła wprost na Guilie, która śmiejac się wołała o pomoc.

— Przepraszam cię. Czy prócz Lanzoniego wyjechał kto jeszcze do Air les Bains?

— Carpenedolo i Tito Berti. Wybierał się tam także i Balbi, ale obecnie musi swą podróż na kilka dni odłożyć.

— A to dlaczego? — spytała śmiejąc się Giulia.

Eliza usłyszawszy tak niespodziewanie nazwisko Hektora, o którym w tej chwili całkiem zapomniała, drgnęła cała, wszystko zawirowało jej przed oczyma. W tejże samej chwili potrafiła jednak zapanować nad sobą i tylko ręce jej kurczowo ściskały poręcz fotelu.

— Biedny Balbi! Jakto, panie nic nie wiedzą? — mówił Pippo Antona, zwracając się wyłącznie do Giulii. Delikatność i dobre wychowanie nie pozwalały mu w tej chwili spojrzeć na margrabinę.

— Biedaczysko, spadł dziś rano z konia.

— Biedny, biedny Hektor — zawołała żywo Reali.

Eliza milczała, ale była bladą jak trup.

— Nie ma nic niebezpiecznego. Czytałem biuletyn wystawiony u portyera. Kontuzya prawego boku, nic więcej. Gorączki żadnej.

— Więc nie widziałeś się pan z nim? — pytała Giulia.

— Nie. Lekarz nie pozwolił mu dziś widzieć się z kimkolwiek. Wypytywałem służącego. Miał dość silne bole, ale injekcye morfiny złagodziły je.

Giulia zażądała dalszych wyjaśnień, pytała o szczegóły wypadku, gdzie się to stało, jak i tak dalej.

Pippo Antona ciągle nie patrząc się na Elizę, gdyż chciał jej dać czas ochłonąć, opowiadał wszystko z najdrobniejszemi szczegółami.

I Pippo Antona i Giulia nie wierzyli, by między margrabiną a Balbim istniał ścisły serdeczny stosunek, dopiero to zniknięcie Elizy, gdy rozmowa na niego zeszła, dało im wiele do myślenia. Po tej, Giulia chcąc przyjaciółkę z przykrego wyprowadzić położenia, zwróciła się wprost do niej.

— Jak Hektor lubiał tę swoją Juanę! Ładnie mu się za to odpłaciła.

— W istocie — odparła Eliza stłumionym głosem.

Mimo tej krótkiej odpowiedzi, atmosfera stała się znośniejszą. Pippo opowiadał dalej o wypadku bardzo zresztą prostym. „Juana przestraszyła się przejeżdżającego welocypedu, skoczyła gwałtownie w bok i wysadziła Balbiego z siodła.

Eliza nie słyszała nic z tego wszystkiego. Na zapytania odpowiadała nic nieznaczącemi półsłówkami. Umysł jedna myśl opanowała: Ona wszystkiemu winna.

To jej niewierność, jej zdrada, jej wiarołomstwo sprowadziło na Hektora nieszczęście. Tak jej wiarołomstwo — słusznie też ukaraną za to została, zasłużyła na śmiertelną zniewagę jaka ją spotkała. Przebaczając Paolowi złamała uroczyste przyrzeczenia i przysięgi, zapomniała o swej godności osobistej i dumie. I opanowała ją nieprzeparta chęć udania się do Balbiego, na którego zdrada jej sprowadziła w tajemniczy nieodgadniony sposób tak straszny wypadek, rzucenia się mu do nóg i wyznania wszystkiego. U stóp jego błagać będzie przebaczenia dopóki go nie uzyska, serce jej nie zazna spokoju.

Dziwny szał ją opanował. Złożyły się na to gniew, nienawiść, upór. Chciała pójść do Balbiego z tych samych powodów dla których nieraz dzieci i kobiety pragną śmierci: żeby się zemścić, żeby mężowi za jego niegodny postępek równą zapłacić monetą, żeby go ugodzić prosto w serce, żeby mu zadać ranę nie do zagojenia. Boleść, żal, litość, gniew miotały naprzemian jej sercem.

Hektor! Hektor! On jeden ją kochał prawdziwie, on jeden wszystko był gotów dla niej poświęcić. Ach jakże on jest dobrym, szlachetnym, wspaniałomyślnym. Kochał ją i potrafił zwyciężyć się, uszanować jej skrupuły. Całą nagrodą jego miłości było przeświadczenie, że jest kochanym nawzajem. A ona unieszczęśliwiała go swą obojętnością, swem zimnem rachowaniem się przesadami. W chwili gdy mu się stała niewierną spotyka go nieszczęście.

Pippo Antona kłamie z pewnością. Hektora upadek nie był tak lekkim. Może życiu jego zagraża niebezpieczeństwo. Musi go zobaczyć koniecznie. Wyzna mu wszystko.

Jakąż jej to ulgę sprawi, gdy wyspowiadawszy się przed nim powie: „Ale to nie ja byłam, nie to ja Eliza, ale jakaś inna. Serce moje, dusza moja w jakiś niewytłómaczony sen popadły, a zbudziła się we mnie na chwilę inna jakaś istota. Ona działała za mnie. Prędko jednak zostałam za to ukaraną. Przejrzałam i oto widzisz mnie u nóg twych. Przyszłam by wyznać wszystko. Teraz gdy już wiesz o mem wiarołomstwie, przebacz mi jeżeli to możliwe i zatrzymaj przy sobie na zawsze".

Paolo nie zobaczy jej więcej. Gdy po dniu spędzonym w objęciach kochanki wróci do domu jej już tam nie będzie.

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki (Telefonu Nr. 174 a).